Nr. 28. Lwów, Niedziela dnia 10. Marca 1878 r. **Tom VI.**



ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
We Francyi prenumeratę i ogłoszenia przyjmuje wyłącznie ajencya Havas, Laffite et comp. 8. place de la Bourse.

MIĘDZY LUDŹMI.

POWIEŚĆ

przez

BOLESŁAWA PRUSA.

I.

Jaś wyjeżdża do krewnych.

Mój przyjacielu! Zarzucasz mi, że mam słabość do opisywania kłopotów ludzi uczciwych i radości hultajów; mówisz przytem, że widzę świat w zbyt ciemnych barwach. Ale robię to tylko dla oryginalności. W gruncie rzeczy, ja sam nie wierzę w to, co piszę. Świat jest oceanem szczęścia, to wiadomo. Wszyscy, którzy pływają po nim, są bardzo zadowoleni, i mają słuszność. Że się ten i ów zachłysnął, a ktoś inny na dobre utonął, to jeszcze nie argument.

Z tej wychodząc zasady, postanowiłem zrobić się optymistą. Rzecz to nader łatwa; potrzeba tylko, oglądając fakty, przechodzić na drugą stronę.

Ot i w tej chwili, albożnie jesteśmy szczęśliwi? Zimno wprawdzie na dworze, ale to tylko na naszej półkuli. Gdzieindziej jest klimat umiarkowany, a nawet tak gorący, że na wolnem powietrzu chleb piec mogą, naturalnie ci, którzy mają mąkę. Zresztą i zimno nie psuje ludziom humoru. Cieszy się składnik węgli, że będzie robił interesa; cieszy się pająk, że ostatnią w tym roku muchę złapał, a i mucha brzęczy tak, jakby była zupełnie kontenta.

Śmierć, naprzykład, uważają ludzie za najgorszy wypadek. Jest to przesąd, o czem najlepiej przekonał się pan Wincenty. Był on małym urzędnikiem, pobierał kilkaset rubli pensyi, a śmierci bał się jak ognia. W chwili jednak stanowczej nie znać było na nim wielkiego wzruszenia. Machnął tylko ręką, jak gdyby chcąc powiedzieć: „głupi świat!...“ i umarł. Umarł tak dobrze, jak najznakomitszy aktor, ba!.. lepiej nawet, bo nie wstał, choć go wywoływali.

Co prawda, nie wywoływała go publiczność, tylko własna żona i trochę syn Jaś. Ale tego się nie liczy, bo miał dopiero trzy lata.

Przy tej sposobności, pani Wincentowa poznała całą dobroć natury ludzkiej. Prawie wszyscy koledzy nieboszczyka zeszli się na pogrzeb. Zmarły wprawdzie za każdego z nich odrabiał zaległości, przesiadywał w biurze dłużej, brał nawet papiery do domu. Ale i tego liczyć nie warto. Za to żadnemu z nich nie oddał chrześciańskiej posługi, a oni mu ją przecież oddali.

W ciągu całego życia pozostało dla pani Wincentowej tajemnicą: jakim sposobem wróciła z cmentarza do domu? okoliczność ta bowiem była aktem miłosierdzia ze strony pana Karola.

— Słowo honoru daję! — mówił pan Karol do swoich znajomych — sam ją odwiozłem i jeszcze cztery złote za dorożkę zapłaciłem. Ale ja się nie lubię chwalić!...

Wróciwszy do domu, pani Wincentowa załamała ręce i szepnęła z rozpaczą:

— Co ja tu pocznę nieszczęśliwa.. i ten biedny sierota!

Mówiąc to patrzyła na Jasia, który zmęczony, spłakany, (choć płakał, sam nie wiedząc z jakiego powodu,) upadł na kanapę w swej żałobnej sukience i twardo zasnął.

Tymczasem, można się było smucić, ale nie wypadało rozpaczać. Rozpacz bowiem zdradza małe zaufanie do miłosierdzia ludzkiego, no! a ludzie są przecież miłosierni.

Zaraz w kilka dni po nieszczęściu zjechali do Warszawy krewni zmarłego: pan Piotr i pani Piotrowa.

Pan Piotr, jako mężczyzna i człowiek praktyczny, wziął się do taksowania i sprzedawania ruchomości. Pani Piotrowa zaś, aby nie przeszkadzać mężowi i pofolgować własnym uczuciom, usiadła przy wdowie i poczęła płakać z nią na wspólkę. Popłakawszy ugotowała kawy na maszynce, napiła się sama, nakarmiła wdowę, sierotę i swego męża, pana Piotra, a potem popłukawszy szklanki i łyżeczki, wzięła się znowu do płaczu.

Taki podział zajęć i boleści zbawiennie oddziałał na wdowę, o czem przekonywamy się ze słów samego pana Piotra.

— Uspokoiła się biedna Zuzia!.. — rzekł raz do swej małżonki.

— A tak!.. A wszystko to zawdzięcza twojej przytomności umysłu — odpowiedziała pani Piotrowa.

— Ale gdzie tam!... Uspokoiła się, widząc twoje współczucie — twierdził pan Piotr.

— Powiadam ci, mężuniu, że to twoja praktyczność.

— Dosyć tego! — oburzył się pan Piotr — Powiedziałem, że tyś ją pocieszyła i basta!...

Ponieważ małżonka, winna być współmałżonkowi uległą, pani Piotrowa zatem głośno przyznała słuszność twórcy swojej rodziny. W duszy jej jednak pozostały pewne wątpliwości, dla usunięcia których, (gdy mąż wyszedł,) spytała pani Wincentowej, ucałowawszy ją poprzednio:

— Powiedz mi też kochana Zuziu, które z nas dwojga więcej cię uspokaja?... Prawda, że Piotruś?..

Wdowa w odpowiedź zalała się łzami.

Stan jej coraz głębsze współczucie począł budzić w krewnych. Przyjechali tu bez żadnego ściśle określonego zamiaru, lecz zbadawszy rzecz na gruncie, przekonali się, że wypada coś zrobić.

— Biedactwo!... — rzekł raz pan Piotr.— Te kilkaset rubli, ze sprzedaży ruchomości, wystarczą jej najwyżej na pół roku.

— Nawet i na tyle nie wystarczą — odpowiedziała pani Piotrowa.

— I dać jakieś zajęcie.

— Trzebaby ją wziąć do nas...

— Tak!... po prostu dla rozerwania myśli — zakończył pan Piotr.

Skutkiem tego pani Wincentowa, wraz z Jasiem, wyjechała na wieś do krewnych. Państwo Piotrowie mieli troje dzieci i przy

nich guwernantkę. Po przyjeździe jednak z Warszawy odprawili guwernantkę, którą zastąpiła wdowa, po prostu dla rozerwania myśli. Ponieważ jednak pani Wincentowa tylko dnie przepędzała na nauce dzieci, a ranki i wieczory na łzach, krewni więc, dla ostatecznego uwolnienia jej od smutku, odprawili klucznicę.

Istotnie, przy pełnieniu tych podwójnych obowiązków i czuwaniu nad własnem dziecięciem, wdowa nie tylko o smutku, ale nawet o samej sobie zapomniała.

Zresztą było jej tam tak dobrze, jak w raju. Dla siebie i syna miała jedzenia po uszy. Do gości wychodziła, o ile czas pozwalał i ile się tylko razy jej podobało. Jako krewna, pensyi wprawdzie nie brała żadnej; państwo Piotrowie nigdyby jej w taki sposób nie uchybili. Ale za to, ile razy potrzebowała czy to dla siebie, czy dla Jasia na sukienkę, koszulę, albo trzewiki, dość jej było powiedzieć tylko słówko:

— Kochany wuju!... Możeby wuj był łaskaw dać mi dziesięć rubli...

— Na co to kochana Zuziu?... — pytał pan Piotr.

— Chciałabym — mówiła cicho, ze spuszczonemi oczyma — chciałabym kupić Jasiowi płótna i korciku na ubranie...

— Owszem kochana Zuziu!... Przecieżeś ty nasza krewna, choć daleka, a on sierota. Ja wprawdzie nie wymawiam, zawsze jednak radziłbym oszczędność. Dla tego więc, zamiast korciku, kup mu lepiej barchanu, a i płócienko może być trochę grubsze. Widzisz, ledwie półtora roku upłynęło od śmierci męża, a już wydałaś te kilkaset rubli, którem ci wydreptał... To ile to, ile?...

— Dziesięć rubli... — szepnęła tłumiąc westchnienie.

— Na co tyle?... Dosyć będzie siedm rubli!... Ja wprawdzie nie żałuję, ale żebyś moje dziecko wiedziała, jak to teraz o grosz trudno! — mówił pan Piotr, wydobywając powoli najbardziej zatłuszczone i podarte papierki.

Serce człowieka, jak wiadomo, składa się z dwu części; w jednej mieszkają uczucia dla siebie samego, w drugiej dla bliźnich. Otóż pan Piotr, pomimo wrodzonej dobroci i praktyczności, drugą owę połowę serca miał nieco skostniałą. Z tego powodu kochał własne cnoty i nienawidził wad cudzych i czuł głęboko własne przykrości, lecz o tych, które innym wyrządzał miał wyobrażenie nader słabe.

Pani Wincentowa, poznawszy psychiczną organizacyę krewnego, straciła jakoś śmiałość i przywiązanie do swego opiekuna. Coraz też rzadziej odwoływała się do niego z prośbą o pieniądze, a coraz częściej łatała ubranie swoje i syna. Tymczasem Jaś rósł, i jak mówił pan Piotr, hartował się i odzwyczajał od zbytków. Miał już lat pięć, kiedy chodził w lecie boso, tudzież w barchanowych majtkach, które wraz z kaftanikiem, z tyłu zapinanym, stanowiły jednę całość. Za to jednak w dnie świąteczne nosił, przykrótkie nieco, ale zawsze porządne ubranie po młodszym od siebie synu pana Piotra.

Jaś był dzieckiem potulnem, uczył się i słuchał. Ludzie obcy, jak naprzykład goście i służba folwarczna, mniemali, że chłopczyk ten był nierównie lepszy od dzieci pana Piotra i jego małżonki. Na nieszczęście pan Piotr, odznaczający się jak wiadomo trzeźwym umysłem, dopatrywał w nim wiele wad szkaradnych. Według jego opinii, Jaś był dziki, bo uciekał przed gośćmi, skryty, bo mówił niewiele, a choć robił, co mu kazano, musiał to jednak robić niechętnie. Najbardziej potępiał go pan Piotr za zaciętość.

— Jeżeli mego chłopca wezmę za ucho — mówił — to on zaraz krzyczy; tego nieraz porządnie ćwiczę, a on ani piśnie!.. Najwięksi zbrodniarze odznaczali się w dzieciństwie takim uporem.

Najgorszem jednak było, że Jaś kłamał.

Pewnego razu, synek państwa Piotrów przyleciał pędem z obory, wołając:

— Tatku!... tatku!.. ja nie byłem w oborze, ja cieląt nie wypuściłem!

— To pewnie Jaś wypuścił! — rzekł surowo pan Piotr — prawda synku, że Jaś?

— No przyznaj się synku — mówił dalej ojciec. — prawda, że Jaś wypuścił?

— Jaś, proszę tatki, Jaś! — odparł chłopiec, który przed oczyma duszy ujrzał w tej chwili widmo pięciopalczastej dyscypliny na sarniej nóżce.

Oburzony pan Piotr pobiegł szukać sprawcy złego i znalazł go w ogrodzie pod drzewem, gdzie Jaś spał, a przynajmniej udawał że śpi. Ale przenikliwy opiekun zrozumiał podstęp, porwał więc chytrego chłopca za ramię i krzyknął:

— Ty wypuściłeś cielęta?

Zbudzony Jaś szeroko otworzył oczy, wybornie udając zadziwienie i przestrach. Tak wielka bezczelność, w tak małym chłopcu, do reszty zrewoltowała cnotliwą duszę Pana Piotra.

— O sprawię ja tobie łaźnię hultaju — mówił opiekun, ciągnąc go do swego pokoju.

— Ja nie wypuściłem cieląt!... Ja spałem w ogrodzie!... — wołał Jaś, zanosząc się od płaczu.

Ponieważ pani Wincentowej w tym czasie w domu nie było, a pani Piotrowa nie miała odwagi wstawiać się za przewrotnym chłopcem, Jaś więc dostał porządne cięgi. W kilka dni potem okazało się wprawdzie, że to nie Jaś, lecz synek pana Piotra cielęta wypuścił; ale już było za późno.

Małe to, jak mówił pan Piotr, nieporozumienie do reszty zniechęciło biedną wdowę. Stała się ona smutniejszą, niż kiedykolwiek, zżółkła, podupadła na zdrowiu i po całych dniach myślała o tem tylko, aby jak najrychlej wydobyć się z objęć poczciwych krewnych. Między nią a opiekunem długi czas toczyła się głucha walka, której widocznymi objawami, były wybuchy gniewu ze strony pana Piotra i łzy wdowy.

II.

Jaś zostaje synem guwernantki.

Częstymi gośćmi w domu pana Piotra bywali państwo Anzelmowie. Widzieli oni, że pani Wincentowa doskonale uczy dzieci, że jest cicha, pracowita i zręczna, i że pan Piotr, pomimo całej dobroci serca i przytomności umysłu, nie należy do bardzo smacznych opiekunów. Litowali się oni nad losem wdowy, a ponieważ sami mieli chłopczyka i trzy córeczki, umyślili więc wziąć panią Wincentową do siebie.

Układ zrobiono po cichu, że jednak pani Wincentowa, sama bała się zawiadomić o nim krewnych, wyręczył ją więc pan Anzelm.

— Cobyś też powiedział kochany sąsiedzie — rzekł pewnego razu do Piotra — gdybyśmy ci zabrali twoją kuzynkę?

— Co wam tam po niej! — odparł Piotr pogardliwie machnąwszy ręką.

— Byłaby u nas tak samo guwernantką, jak i tutaj.

Pan Piotr poprawił wąsa i z pod oka spojrzał na mówiącego.

— Ona przecież u nas nie jest guwernantką — rzekł — tylko krewną.

— Dałbym jej dwieście rubli! — ciągnął dalej Anzelm, nie patrząc na sąsiada.

Pan Piotr oburzył się.

— Próżne gadanie! — zawołał z gniewem. — Ona by od nas za żadne pieniądze nie odeszła...

— Odejdzie! odejdzie!... A zresztą możemy ją zapytać.

— Dobrze... zapytajmy! — odparł zirytowany pan Piotr, trochę bojąc się, a trochę niedowierzając temu, aby pani Wincentowa mogła okazać się niewdzięczną.

Niebawem wezwano biedaczkę, która ku najwyższemu zdziwieniu pana Piotra wyznała, że dom jego może opuścić.

— Co to znaczy, Zuziu?.. — krzyknął krewny. — Czy było ci u nas źle?..

— Owszem, dobrze... — odparła zmieszana — ale u pana Anzelma mieć będę pensyę...

— No, jeżeli chodzi o stałą pensyę — poprawił krewny — to mogę ci odtąd płacić sto piędziesiąt rubli rocznie.

— Bardzo dziękuję wujowi, ale... już się umówiłam z panem Anzelmem.

Ponieważ krewny nie odpowiedział nic, pani Wincentowa zatem pocichutku wysunęła się z pokoju. Wówczas pan Piotr wybuchnął:

— Ślicznie sąsiad postępuje ze mną — zawołał! — Godzi się to intrygować między familią?... Świetny los zrobi u sąsiada, że będzie guwernantką...

— Tutaj była guwernantką i klucznicą — odparł popędliwie Anzelm.

— Co to, klucznicą?.. była jak u siebie panią w domu!.. Umarłaby z głodu po śmierci męża, gdybyśmy jej nie przygarnęli... Zmarnowałaby rzeczy, gdybyśmy ich dobrze nie sprzedali!

— Cóż z tego, żeś pan sprzedał rzeczy, kiedy już nie ma pieniędzy.

Ostatnia ta uwaga najdotkliwiej zraniła pana Piotra, który zapominając o prawidłach gościnności, wyszedł z pokoju, trzasnął drzwiami i zostawił sąsiada samego. Pana Anzelma wcale to nie obraziło; siadł w tej chwili na bryczkę i pojechał do domu, myśląc z rozkoszą, że pomógł prawdziwemu nieszczęściu.

Teraz dopiero, wprawdzie na bardzo krótko, zmienił się los wdowy i sieroty w domu krewnych. Pani Piotrowa obsypała pieszczotami kochaną Zuzię i Jasia, któremu pan Piotr chciał natychmiast sprawić nowe ubranie, a matce płacić odtąd dwieście rubli. Poczciwy krewny zrobił to bardziej dla uniknięcia skandalu i zatrzymania pożytecznej Zuzi, aniżeli z powodów uczuciowych.

— Ale pani Wincentowa, mimo uległości i szacunku dla opiekunów, uparła się tym razem. Widocznie nie umiała ona ocenić przywiązania krewnych. Po czteroletnim blisko

pobycie między nimi, dom ten wydał się jej nieznośnym. Nie było w nim prawie kąta, gdzieby nie płakała nad sobą albo synem, nie było pokoju, w którymby nie widziała kwaśnej miny pani Piotrowej i ponurego wzroku pana Piotra, nie było pola i ogrodu, po którymby Jaś jej boso nie biegał. Przypominała sobie z goryczą kaprysy dzieci, zuchwalstwo służby, na którą nie było się przed kim skarżyć. Pamiętała gości, przed którymi obdarty i zdziczały Jaś krył się po kątach, i do których też ona sama nie zawsze wychodzić mogła z powodu braku sukni.

To też napróżno pani Piotrowa błagała ją prawie ze łzami, napróżno dzieci przez kilka dni były tak grzeczne jak cherubiny, napróżno wreszcie przytomny pan Piotr zbił dwie służące za hardość. Wdowa wstawiała się za sługami, grzeczne dzieci pieściła, a uprzejmym ich rodzicom wyświadczała tysiączne usługi. Lecz gdy konie od pana Anzelma przyszły, postanowiła jechać.

Widząc to pan Piotr, rzekł jej na odjezdne:

— Kiedy chcesz, jedź!... Ale odtąd nie znamy się.

Spakowawszy trochę rupieci, siadła pani Wincentowa na bryczkę, zalewając się łzami. Furman podał jej zdziwionego Jasia. Ze dworu nikt nie wyszedł na pożegnanie, tylko w oknach kuchni widać było smutne lub uśmiechnięte twarze służby. Gdy bryczka ruszyła, kilka psów podwórzowych, wśród podskoków i głośnego szczekania, odprowadziło wdowę aż na pole. Nic dziwnego! ona te psy karmiła, a Jaś zawsze bawił się z nimi i nigdy ich nie bił, ani targał za uszy.

Nowi gospodarze, choć obcy, a może właśnie dla tego, że obcy, okazali się nierównie lepszymi od krewnych. Pani Anzelmowa była sobie szczupłą, bladą i chorowitą szatynką. Lubiła czytywać romanse i grać na fortepianie; do gospodarstwa nie mięszała się tak dalece, że nawet służący jej nie umieliby powiedzieć jak wygląda. Pan Anzelm znowu, nizki, przysadzisty, ogorzały i rumiany blondyn, był człeczyna z kośćmi uczciwy. Czytywał mnóstwo gazet i pism rolniczych, i połykał prawie artykuły, w których rolnikom wyrzucano ich niedbalstwo, brak nauki i nie myślenie o jutrze. Długie te i ckliwe kazania skruszyły już z natury miękkie serce pana Anzelma. Bijąc się w piersi, głośno wyznawał błędy, które mu wytykano i odtąd począł się tak uczyć, tak dbać o gospodarstwo i myśleć o jutrze, że nie miał czasu ani do stodoły zajrzeć, ani na pole wyjechać. Dawniej także nie zaglądał i nie wyjeżdżał, ale dla tego tylko, że podobnych artykułów nie czytywał.

Zobaczywszy to sąsiedzi, poczęli go nazywać gospodarzem filozofem. Istotnie pan Anzelm był filozofem, ale nie z tej widać szkoły, do której Towarzystwo Kredytowe należało: pomiędzy nim bowiem a zarządem wymienionej instytucyi, trafiały się bardzo częste i ożywione sprzeczki. Prócz tego pan Anzelm był jowialnym. Lubił się śmiać i opowiadać dykteryjki; gdy zaś usłyszał lub wyczytał nową, powtarzał ją sąsiadom, żonie, guwernantce i ekonomowi, w końcu zaś pytał:

— A co, panie, dobry koncept?..

— Naturalnie!.. — odpowiadał zapytany.

— To ja go wymyśliłem!

Młynkiewicz, ekonom Anzelma, który swego chlebodawcę uważał za szczyt doskonałości ludzkiej, dodzierał nie tylko pańskie suknie, ale i dykteryjki, w towarzystwie karbowego, gajowego i pisarza. Po każdej zaś powiastce dodawał:

— A co panie, dobry koncept?.. To myśmy go z p. Anzelmem wymyślili!..

W takiem towarzystwie nie mogło być źle pani Wincentowej. Państwo byli dobrzy, dzieci grzeczne... To też między nimi odżyła biedna kobieta i jej synek.

Zaraz po przyjeździe pan Anzelm dał nowej guwernantce kilkadziesiąt rubli z góry. Za tę sumę oporządzili się nieboracy i z najlepszą otuchą zajęli swój pokoiczek na piąterku.

Cacko bo też to było, nie pokoik! Miał czyściuchną podłogę, piec w kącie, ściany białe jak mleko, których jedyną wadą było to chyba, że trochę bieliły suknię. Do jednego z okien wspinały się gałązki dzikiego wina, do drugiego przylatywały gołąbki, wołając: grochu!.. grochu!..

Było tam jeszcze parę krzeseł wiśniowego koloru, komódka, szafa, szerokie łóżko dla matki i dla syna, rozsuwane łóżeczko na wyrost. Były i dwa kotki bardzo łaskawe, jeden myszaty a drugi biały, spuścizna... po ostatniej guwernantce, starej pannie.

— *Zakociła* nam panna Dylska całą okolicę — mawiał nieraz pan Anzelm patrząc pilnie, ażali się słuchacz nie roześmieje. Gdy zaś to nastąpiło, dodawał z tryumfem:

— A co, panie, dobry koncept?.. To ja go wymyśliłem!..

Jeżeli guwernantka była zadowolniona z państwa, to i oni musieli być z niej kontenci. Okazało się, że pani Wincentowa posiadała dużo talentów.

W miesiąc po przybyciu nauczyła klucznicę wypasać indyki, które dotychczas były chude jak szczypy. Umiała też rurkować falbany u białych spodnic i zakładała firanki tak jak tapicer, aż ją sąsiedzi rozrywali! Grała przy tem mnóstwo tańców na fortepianie i dla tego nie obszedł się bez niej żaden wieczór. Zwykle zapraszano ją na bal jako młodą wdówkę, która powinnaby sobie zdobyć męża. Niebawem jednak wśród próśb i całusów zasadzono ją do fortepianu, od którego ledwie nad rad ranem wstawała.

W domu państwa Anzelmów przemieszkiwała wdowa trzy lata, a czas tam spędzony, nie bez zasady, uważała za najszczęśliwszy nieledwie w życiu. (C. d. n.)

PODRÓŻ NA OKOŁO... KRAKOWA.

I. KATEDRA NA WAWELU.

(Ciąg dalszy.)

Na frontonie Panteonu paryskiego stoi napis: „Aux grands hommes la patrie reconnaissante“, mimo to nawy i podziemia świątyni świecą dotychczas pustkami; o ileż stosowniejszym byłby podobny napis na frontonie naszego Panteonu, co wszystkie chwały, wielkości i pamiątki w sobie przechowuje, lub przechowywać mógłby i powinien?!

Kościół Dei Frati w Wenecyi i Sta Croce we Florencyi wyróżniają się pięknością swoich pomników, przechowują szczątki równie sławnych i wielkich ludzi; św. Piotr w Rzymie, Saint-Denis i Inwalidy w Paryżu... imponują wielkością, sławą i pięknością etc., ale wszystkie nie mają tego charakteru skupiającego w sobie wielkości narodu, począwszy od tronu, do skromnego obywatela-bohatera, nie streszczają w sobie życia całego narodu. Pod względem dzieł sztuki Wawel nie ustępuje także doniosłości swoich narodowych pamiątek. Wszakże i tu mamy dzieła Torwaldsena, Canowy, Ricci'ch, Pozzi'ch etc., malowania Guerczina, Dolabelli i innych mistrzów włoskich. Ale oprócz tego mamy ów grobowiec Kazimierza Wielkiego, z którym: mówiąc słowami Essenweina: „żaden w Niemczech, tak pod względem szlachetności jak i prawdziwie królewskiego wejrzenia, mierzyć się nie może“, a który o tyle wyprzedził arcydzieła Stwosza; mamy owe grobowce Kazimierza Jagiellończyka i Władysława Jagiełły, które mogą iść o lepsze z najlepszemi dziełami współczesnej sztuki całego świata: owe pyszne bronzowe pomniki jak: Fryderyka kardynała, Borków i Kmitów etc., przedziwnego rysunku i odlewu w jakim niegdyś Kraków celował. Nie zawahamy się nawet przeciwstawić słynnej kaplicy św. Wawrzyńca z grobowcami Medyceuszów we Florencyi, kaplicy Zygmuntów. Czyż nie obie są jakby tchnieniem włoskiej renesansy, nie óbie dziełem mistrzów florenckich z najlepszej epoki. To już wyżyny sztuki; po zatem wyczerpanie się sił produkcyjnych, chylenie się i powolny upadek. Wprawdzie nie możemy poszczycić się arcydziełami dłuta Michała Anioła: ową tajemnicą „Nocą i dniem“, ową zmuszającą do marzenia „Jutrzenką i zachodem“; ale trzeba też przyznać, że nasze grobowce Zygmuntów, mniej artystyczne niewątpliwie, odpowiadają bardziej majestatowi miejsca. Nie gorszą nas swoją nagością, nie rozrywają posępnych dumań realizmem życia; to grobowiec, tamto „salon“ arcydzieł sztuki.

Gdy przejdziesz progi świątyni i trafisz na szczęśliwą chwilę: że z wyjątkiem kilku zgarbionych wiekiem świątników nie przerywają ci dumań banalne fizyognomie turystów, na widok tylu świętości i relikwii: uczuwasz pomimowolnie jakby święty dreszcz, świętą trwogę, ową δεισιδαιμονία, jaką na widok swoich bóstw Grecy uczuwali.

Wśród łamiących się przez szczeliny okien promieni słonecznych i gry kolorów polichromicznych pomników, zdaje ci się, jakby wszystkie kamienne te postacie, zdjęte chwilowo snem letargicznym, zaczynały powoli poruszać się; rycerze i hetmani zdają się pobrzękiwać ostrogami, uderzać jakby na pobudkę dłonią o szable obok nich leżące; książęta kościoła i senatu zdają się szeptać słowa nauki i rady. Gdy rzucisz okiem od tych wysmukłych sklepień począwszy na zasłane pomnikami podłoże, na tę harmonię linii, na ten koncert barw, zdaje ci się słyszeć ów przedziwny rapsod Lisztowski, w którym coraz nowy, piękniejszy motyw nagle się pojawia i urywa. Zasłuchany w pojedyńczych pięknościach szczegółów, nie możesz uchwycić z razu całości; to zdaje ci się, że towarzyszysz pochodowi tryumfalnemu wielkiego narodu, to zastanawia cię pojedyńczy słowiczy śpiew, tu i owdzie razi cię szorstki dyssonans; tempo staje się coraz szybsze, coraz gwałtowniejsze, tchu ci brakuje, podążając za niem; zdajesz się być pochwyconym szatańskim wirem nocy Walpurgów, w końcu przerywa wszystko: nagły niespodziany finał, od którego

*

zarówno struny instrumentów jak i struny serca pękają.

Lecz stąpmy niżej, do krypty św. Leonarda, do grobów królewskich.

Trzeba przyznać, majestat otoczenia odpowiada w zupełności majestatowi postaci tu ukrytych.

Po tylu świętokradzkich atakach na całość zwłok królewskich, po tylu nieposzanowaniach swoich i cudzych, niszczycieli z zasady i własnych miłośników pamiątek; po takiem długowiekowem zaniedbaniu, dzięki gorliwości pojedyńczych członków i ofiarności całego społeczeństwa doprowadzono dziś do należytego porządku i wspaniałości ten ostateczny przybytek dawnej chwały i wielkości. Po królewsku teraz leżą nasi Jagiellonowie i Wazowie, o tyle bardziej uprzywilejowani od starszych swych braci Burbonów i Habsburgów.

Jednym, może oszczędność, może zły gust, drugim wypadki losowe, burze i kataklizmy społeczne nie dozwoliły zdobyć się na podobnie wspaniałe mauzoleum. Piękniej tu leżą: ów obywatel-bohater, co swoją postacią kupuje tyle współczesnych słabości, ów marszałek Francyi, poświęcający się choćby dla mrzonki, jak każdy z jego rasy, niżeli niejedni protoplaści przemożnych dynastyi.

Gdy już jesteśmy w grobowcach, przerywamy spokój wielkim zmarłym, przysłuchujemy się szeptom śmierci, pójdźmy do nowo wykończonej krypty Wielkiego króla-bohatera, Stefana Batorego. Odsunięty kaprysem własnej żony od dynastyi, do której wszedł przez związki małżeńskie, po trzech wiekach rozłąki wrócił do boków Anny Jagiellonki, w grono owej na trzy państwa, na trzy trony, przemożnej dynastyi.

O ile chodzenie po cmentarzach *à la* królewicz duński, o ile monomania grobów na sposób tej królewskiej hiszpańskiej dynastyi, jest niewątpliwie objawem słabości, chorobliwej melancholii, o tyle w pewnych wyjątkowych warunkach z grobowców — to można czerpać siły i życie!...

Mieliśmy właśnie szczęście asystowania jednej z tych rzadkich czynności konserwatorskich, pozwalających stanąć oko w oko wielkim postaciom historycznym, było to z okazyi restaurowania świeżo trumny Stefana Batorego. Gdy odszukano i odbito wejście do grobowca, znaleziono trumnę metalową rozpadłą, wieko spękane. Zwłoki wielkiego króla po odsłonięciu okazały się dziwnie przechowanemi. Ciało zczerniało tylko mocno, rysy zaklęsły się, ale zarost przechowany jakby za życia, a ogólne wrażenie przypomina znane wizerunki. Szaty pozłociste spłowiałe nieco, insygnia i szabla zaśniedziałe, dopełniają przejmującego obrazu.

Patrząc na te śmiertelne szczątki, na tę ruinę wielkości, dotykając się niejako wzrokiem owej namacalnej rzeczywistości, człowiek budzi się z moralnego uśpienia, zaczyna utrwalać się w przekonaniu, że nie wszystko z przeszłości jest fikcyą sentymentalną, urojeniem, legendą...

Mistrz Matejko zdjął na miejscu rysunek, p. Ludwik Łepkowski brat konserwatora wykończył już nadzwyczaj dokładną i udatną akwarellę.

Lecz rzućmy zasłonę na drogie szczątki wielkiego króla, już dziś na wieki zabite i zalutowane. Niebezpieczna gra wyzywać cienie wielkich postaci przeszłości. Moglibyśmy usłyszeć straszliwą odpowiedź daną Saulowi w Endor...

Czy myślisz szanowny czyteniku, że posiadając taki pomnik, którego obcy słusznie zazdrościć nam mogą: dość módz nim poszczycić się, dość raz w życiu, w przelocie, obejrzeć go i przejść do porządku dziennego. Nie, to nie dosyć! trzeba pomnik ten utrzymywać, trzeba go otoczyć należytą opieką.

To daje nam sposobność do podniesienia kwestyi: do jakiego stopnia opieka szerszej społeczności jest tu konieczną, jak pojedyńczy, z najlepszemi chęciami członkowie, mylnie niekiedy pojmują doniosłość tego narodowego pomnika, jak do niedawna wiekowy ten pomnik, stał oparty na igraszce losów i lekkomyślności ludzkiej.

Wawel przed kilku laty groził ruiną, i to: dla kaprysu, dla dziecinnej pychy pojedyńczych, uprzywilejowanych nibyto członków społeczeństwa. Ruina katedry była niechybną, wisiała na włosku. W jednej z kaplic, której nie wymieniamy przez poszanowanie innych członków rodziny, fantazya pańska nakazała restauracyę w stylu włoskim. Jeden z głównych czterech filarów, albo raczej szkarp z ciosu, podtrzymujących cały fronton świątyni, wchodził nieco w samą kaplicę. Ponieważ psuło to harmonię tej z włoska przystrojonej gotyckiej kaplicy, podcięto więc całą szkarpę na 40 kilka łokci w górę, a pozostałą ciężącą masę połączono dwoma ankrami z dachem. Trzeba dodać, że kapituła, która lekkomyślnie na te zmiany zezwoliła, nie żądając nawet kaucyi tytułem utrzymania nadal tej kaplicy, poprzestając jedynie na piśmiennem zobowiązaniu, nie miała wtedy na swoje usługi zasłużonego dr Żebrawskiego, budowniczego katedralnego i inżyniera; instytucya konserwatorów nie była także jeszcze znaną. Po kilkunastu latach, filar, który miał podtrzymywać świątynię, tak sam na wiązaniach dachu zaciężył, że szczyt frontonu zaczął chylić się i obniżył się o $2^1/_2$ cala. Specyalista, a natenczas już budowniczy kapituły dr. Żebrawski, ostrzegł był, że nieuniknienie, obniżenie jeszcze o pół cala pociągnie za sobą zawalenie się frontonu i zgruchotanie kaplic. Kapituła i konserwator ówczesny, pokilkakrotnie zgłaszali się do tytularnych właścicieli kaplicy zobowiązanych (mocą sukcesyi) do jej utrzymania, w interesie zreperowania popełnionego błędu. Wszystkie przedstawienia pozostały bez skutku. Pozostawałoby wprawdzie kapitule mającej dokumenta w ręku, wytoczenie procesu, ale na proces trzeba funduszu, zresztą reparacya nie cierpiała zwłoki. Kapituła więc wystarała się prywatnie o fundusze i szkarpa została przywróconą. Fakt ten zdaje się nie potrzebuje komentarzy. Możnaby wprawdzie odpowiedzieć, że kapituła sama głównie pobłądziwszy, bardzo słusznie musiała błąd swój opłacić. To też nauczona doświadczeniem, przy późniejszych restauracyach, jeśli nie już inszych kwalifikacyi, wymaga przynajmniej złożenia żelaznego funduszu na stałe utrzymanie dzieła pychy i próżności ludzkiej. Można jej tylko to pochwalić. Lecz tu nastręcza się pytanie: o ile kapituła prawnie, a przynajmniej moralnie, sama jedna może rozporządzać zaszczytami naszego Panteonu? Czy świątynia na Wawelu jest własnością kapituły, lub jak zwykły parafialny kościół, parafii, lub choćby gminy krakowskiej. Nie! Wawel to własność publiczna, to własność narodu, to relikwia, to święte palladium. W jego podziemiach: tylko ojców ojczyzny, tylko wielkich jej obywateli kości mogłyby być złożone; na jego ścianach jeno zasłużonym sprawie publicznej pomniki stawiać godziłoby się. (Dok. nast.)

HEKTOR SERVADAC

PRZYGODY W PODRÓŻY

PO ŚWIATACH SŁONECZNYCH

przez

JULIUSZA VERNE'A.

CZĘŚĆ DRUGA.

(*Ciąg dalszy*).

ROZDZIAŁ V.

(*W którym uczeń Servadac jest należycie karcony przez profesora Palmiryna Rosette.*)

Tak więc dla tych poszukiwaczów, dla tych wynalazców hypotez, wszystko teraz było jasnem, wszystko zostało wytłumaczone. Znaleźli się porwanymi przez kometę, krążącego w świecie słonecznym. Ciało niebieskie, które kapitan Servadac widział zaraz po uderzeniu pędzące w przestrzeni, to była ziemia. Ona też to spowodowała jedyny przypływ i odpływ morza Galickiego.

Ale zresztą kometa ten miał powrócić na ziemię—przynajmniej tak twierdził profesor. W każdym razie czy wyrachowania jego były dość dokładne, by powrót ten mógł być pewnikiem matematycznym? Łatwo pojąć, że Galijczycy mieli pod tym względem wiele wątpliwości.

Dnie następne poświęcone były ulokowaniu nowoprzybyłego. Na szczęście był on jednym z tych ludzi, nietrudnych pod względem życia, którzy zgadzają się ze wszystkiem. Dzień i noc żyjąc pomiędzy gwiazdami, uganiając za niemi w przestrzeni, bardzo mało zajmował się on pomieszkaniem i pożywieniem, wyjąwszy kawy. Nie zdawał się nawet uważać tej pomysłowości, jaką koloniści rozwinęli w uporządkowaniu Ula Niny.

Kapitan Servadac chciał oddać najlepszy pokój byłemu swemu profesorowi. Ale ten, nie wiele dbając o udział we wspólnem życiu, odmówił stanowczo. Potrzebował tylko pewnego rodzaju obserwatoryum, należycie wzniesionego i odosobnionego, w któremby mógł oddawać się spokojnie swoim astronomicznym spostrzeżeniom.

Więc Hektor Servadac i porucznik Prokop zajęli się wyszukaniem mu odpowiedniego pomieszkania. Poszczęściło się im. Na bokach góry wulkanicznej, o sto stóp prawie wyżej od głównej groty, odkryli rodzaj ciemnego zakątka, wystarczającego na pomieszczenie astronoma i jego instrumentów. Było tam miejsce na łóżko, kilka sprzętów, stół, krzesło, szafę, nie licząc sławnej lunety, którą ustawiono tak, by mogła być z łatwością poruszana. Niewielki strumyk lawy, oddzielany od głównej katarakty, wystarczał do ogrzania tego obserwatoryum.

Tam to się ulokował profesor, jadając to, co mu przyniesiono w oznaczonej godzinie, sypiając mało, rachując w dzień, robiąc spostrzeżenia w nocy i jak można najmniej przyjmując udziału w życiu wspólnem. Znając jego oryginalność, najsłuszniej zrobiono pozostawiając mu zupełną swobodę postępowania.

Zimno się wzmogło. Kolumna termometryczna wskazywała średnio nie więcej nad trzydzieści stopni stostopniowych powyżej zera. Nie oscyllowała w szklannej rurze, jak to ma miejsce w klimatach zmiennych, ale opadała powoli i stopniowo. Zniżanie się to trwać będzie ciągle aż dopóki nie dojdzie do ostatnich krańców zimna w przestrzeni; temperatura pocznie wznosić się dopiero, gdy Galia przybliży się do słońca.

Jeżeli kolumna rtęciowa nie oscylowała w rurze termometra, to pochodziło to ztąd, że żaden podmuch wiatru nie zamącał atmosfery galickiej. Koloniści znajdowali się w szczególnych warunkach klimatycznych. Ani jeden atom powietrza nie poruszał się. Wszystko płynne i ruchome na powierzchni komety zdawało się zmarzłem. Żadnej burzy, żadnego deszczu, żadnych wyziewów, ani na zenicie, ani na horyzoncie. Nigdy nie pojawiały się owe mgły wilgotne, lub suche, zalegające okolice podbiegunowe kuli ziemskiej. Niebo zachowywało niezmienną pogodę, nasycane we dnie promieniami słońca, w nocy promieniami gwiazd, a jedne nie zdawały się wcale cieplejszemi od drugich.

Trzeba należycie zrozumieć, iż ta nadzwyczajna temperatura była najzupełniej znośną na otwartem powietrzu. To czego zimujący w okolicach arktycznych nie mogą znieść bezkarnie, co wysusza im płuca i czyni niezdolnymi do funkcyi żywotnych, to właśnie jest owo zimne powietrze gwałtownie rozruszane, ostre wiatry, niezdrowe mgły, straszliwe śnieżne zawieje. W tem zawiera się przyczyna wszelakich dolegliwości, zabijających żeglarzy podbiegunowych. Ale w okresie spokoju, gdy atmosfera nie jest zmącona, to choćby byli na wyspie Melville, jak Parry, albo po za ośmdziesiątym pierwszym stopniem, jak Kane i dalej jeszcze, w okolicach, do których dotarł śmiały Hall i żeglarze statku *Polaris*, mogą oprzeć się zimnu choćby najbardziej ostremu. Pod warunkiem, że będą dobrze odziani, dobrze karmieni, wytrzymają oni najniższą temperaturę, gdy nie ma żadnego wiatru, i przekonali się o tem nawet, gdy spirytus spadał w termometrze o sześćdziesiąt stopni niżej zera.

Koloniści Ziemi Gorącej byli zatem w najlepszych warunkach dla wytrzymania zimna. Na galiocie futer i skór wyprawnych nie brakło. Żywność znajdowała się w obfitości i zdrowa. Nakoniec cisza, panująca w atmosferze, pozwalała wychodzić bezkarnie, pomimo nadzwyczajnego zniżenia temperatury.

Zresztą generalny gubernator Galii dbał o to, by koloniści byli ciepło odziani i obficie żywieni. Przepisane zostały i były codziennie wykonywane ćwiczenia hygieniczne. Nikt nie mógł się usuwać od programu życia wspólnego. Ani młody Pablo, ani mała Nina nie byli wyłączeni z ogólnego prawidła. Należycie osłonięte futrami dwa te śliczne dzieciaki miały minę zgrabnych Eskimosów, gdy się ślizgały na wybrzeżu Gorącej Ziemi. Pablo był zawsze bardzo dbały o swoją towarzyszkę. Dopomagał jej w zabawach, podtrzymywał, gdy się czuła znużoną. A zawsze zgodnie!

A co się działo z Izaakiem Hakhabutem?

Po dość niefortunnem przedstawieniu się Palmirynowi Rosette, Izaak Hakhabut w złym humorze powrócił na swój statek i nastąpiła zmiana w jego myślach. Zważywszy szczegóły przytoczone przez profesora, że były tak dokładne, nie mógł on już powątpiewać i nie powątpiewał. Czuł się uniesionym przez jakiegoś wędrownego kometę na miliony mil od ziemi, na której robił tak korzystne interesa!

Znalazłszy się w położeniu, będącem po za obrębem wszelkich ludzkich przewidywań, powinien był on zmodyfikować swe idee i charakter, wejrzeć w samego siebie, powrócić do uczuć lepszych względem swoich bliźnich, których Bóg, w łasce swojej pozostawił mu, i nie poczytywać ich tylko za materyał do użytku na swoją wyłącznie korzyść.

Nic się podobnego nie stało. Gdyby Izaak Hakhabut odmienił się, w takim razie nie byłby doskonałym wzorem tego, czem może stać się człowiek o sobie tylko myślący. Przeciwnie, stwardniał on jeszcze i myślał o tem tylko, jakby wyzyskać do ostateczności sytuacyę. Znał on dość kapitana Servadac, by być pewnym, że ten nie pozwoli mu zrobić żadnej krzywdy; wiedział, że mienie jego znajduje się pod opieką francuskiego oficera i że wyjąwszy wypadków nadzwyczajnych, nic mu się złego nie stanie. Owoż zdawało się, że takie wypadki nadzwyczajne zajść nie mogą, i oto jak Izaak Hakhabut zamierzał wyzyskać swoją sytuacyę.

Szanse powrotu na ziemię, chociaż tak niepewne, zasługiwały jednak poniekąd na to, by je wziąć pod rozwagę. Z drugiej strony złota i srebra nie brakło w małej kolonii, ale kruszce te mogły mieć wartość tylko w razie powrotu na ziemię. Szło tedy o pochłonięcie całego pieniężnego zapasu Galii. Cel więc Izaaka Hakhabuta był taki: sprzedać swe towary przed powrotem, ponieważ z powodu swej rzadkości miały one większą wartość w Galii aniżeli na ziemi, ale wyczekiwać dopóki wskutek potrzeb kolonii nie nastąpi żądanie ich. Tym sposobem zwyżka i zysk były pewne. Otóż sprzedać, ale czekać by sprzedać tem korzystniej.

Nad tem to rozmyślał Izaak Hakhabut w ciasnej swej izdebce na *Hanzie*. W każdym razie nie ukazywał swej złośliwej figury i nikt na to nie uskarżał się.

Przez kwiecień Galia zrobiła trzydzieści dziewięć milionów mil i w końcu tego miesiąca znajdowała się w odległości stu dziesięciu milionów mil od słońca. Eliptyczna orbita komety najdokładniej została odrysowana przez profesora. Dwadzieścia cztery nierówne podziały oznaczone zostały na tej krzywiźnie, przedstawiając dwadzieścia cztery miesiące roku galickiego. Podziały te wskazywały drogę przebieganą miesięcznie. Dwanaście pierwszych wycinków, oznaczonych na krzywiźnie zmniejszało się stopniowo aż do afelium, zgodnie z jednem z trzech praw Keplera; po przejściu tego punktu zaś zwiększały się w miarę zbliżania się do perihelium.

Pewnego dnia, mianowicie 12 maja, profesor pokazał swą pracę kapitanowi Servadac, hrabiemu i porucznikowi Prokopowi. Ci rozglądali ją z zajęciem łatwem do zrozumienia. Cały ruch Galii rozwijał się przed ich oczyma; mogli przekonać się, że linia tego ruchu rozciąga się nieco po za orbitę Jowisza. Droga przebieżona przez miesiąc i odległość od słońca wyrażone tam były w liczbach. Nic nie było jaśniejszego nad to i jeżeli Palmiryn Rosette nie omylił się, jeżeli Galia ściśle dokona swój obrót we dwóch latach, to znajdzie ziemię znowu w tym samym punkcie, gdzie ją potrąciła; ponieważ w tym samym czasie matematycznie dopełnią się dwa obroty ziemi. Ale jakie będą wyniki nowego uderzenia? Niechciano nawet myśleć o tem!

W każdym razie, jeżeli dokładność pracy Palmiryna Rosette mogła być podejrzywaną, to należało pilnować się, by tego nie okazać.

— A zatem — rzekł Hektor Servadac — w maju Galia przebieży tylko trzydzieści milionów czterykroć stotysięcy mil i znajdzie się w odległości stu trzydziestu dziewięciu milionów mil od słońca?

— Tak jest — odpowiedział profesor.

— Opuściliśmy więc strefę planet teleskopowych? — dodał hrabia.

— Sam pan osądź — odparł Palmiryn Rosette — wszak nakreśliłem strefę tych planet!

— I kometa znajdzie się w swojem afelium równo po upływie roku od przejścia przez swe perihelium?

— Znajdzie!

— Przyszłego 15go stycznia? — zapytał Servadac.

— Naturalnie, że 15go stycznia... A! ale nie! — zawołał profesor — dlaczego mówisz pan 15go stycznia?

— Bo od 15 stycznia do 15 stycznia upływa rok, jak mi się zdaje, czyli dwanaście miesięcy.

— Tak dwanaście miesięcy ziemskich—powtórzył profesor — ale nie dwanaście miesięcy galickich!

Słysząc niespodziewane to zdanie, porucznik Prokop nie mógł powstrzymać uśmiechu.

— Pan się śmiejesz — rzekł żywo profesor Palmiryn Rosette — czego się pan śmiejesz?

— O, po prostu, panie profesorze, z tego, że pan zamierzasz zreformować kalendarz ziemski.

— Ja, panie, nie zamierzam nic takiego, coby nie było logicznem.

— Trzymajmy się logiki, kochany profesorze, trzymajmy! — zawołał kapitan Servadac.

— Czy przyjęto — zapytał Palmiryn Rosette dość sucho—że Galia powróci do swego perihelium po dwóch latach?

— Przyjęto.

— Czy ten czas dwuletni, w którym odbywa się całkowity obrót dokoła słońca, stanowi rok galicki?

— Rozumie się.

— Czy rok ten powinien, tak jak wszystkie lata, dzielić się na dwanaście miesięcy?

— Jeżeli pan tak chcesz, kochany profesorze.

— Nie chodzi tu o to, co ja chcę...

— A więc dobrze! na dwanaście miesięcy!— odrzekł Hektor Servadac.

— A z ilu dni składać się będą te miesiące?

— Z sześćdziesięciu, ponieważ dnie zmniejszyły się o połowę.

— Kapitanie Servadac — powiedział profesor tonem surowym — zastanów się pan nad tem, co mówisz...

— Ależ zdaje mi się, że wchodzę w system pana — odrzekł Hektor Servadac.

— Wcale nie.

— Więc wytłumaczysz nam pan...

— Ależ nie masz nic prostszego! — odparł Palmiryn Rosette, pogardliwie ruszywszy ramionami. — Czy każdy miesiąc galicki powinien obejmować dwa miesiące ziemskie?

— Bez wątpienia, ponieważ rok galicki ma trwać dwa lata.

— Czy dwa miesiące ziemskie czynią razem sześćdziesiąt dni?

— Tak jest, sześćdziesiąt dni.

— A zatem?... — zapytał hrabia, zwracając się do Palmiryna Rosette.

— A zatem, jeżeli dwa miesiące zawierają sześćdziesiąt dni ziemskich, to czyni to sto dwadzieścia dni galickich, ponieważ długość dnia na powierzchni Galii wynosi tylko dwanaście godzin. Czy jasno?

— Najzupełniej jasno — odrzekł hrabia; — ale czy pan nie obawiasz się tego, iż nowy ten kalendarz będzie cokolwiek poplątany?

— Poplątany! — zawołał profesor — od 1go stycznia ja nie liczę inaczej!

— A zatem — zapytał kapitan Servadac,

nasze miesiące będą miały teraz po sto dwadzieścia dni?

— Cóż pan w tem widzisz złego?

— Nic, kochany profesorze. A zatem dziś, zamiast być w maju, jesteśmy dopiero w marcu?

— W marcu, moi panowie, w dwóchsetnym sześćdziesiątym szóstym dniu roku galickiego, co odpowiada sto trzydziestemu trzeciemu dniowi ziemi. Dziś mamy 12go marca galickiego, a gdy upłynie jeszcze sześćdziesiąt dni galickich...

— Będziemy mieli dzień 72gi marca! — zawołał Hektor Servadac — brawo! Bądźmy logiczni!

Palmiryn Rosette zrobił taką minę, jak gdyby zapytywał sam siebie, czy przypadkiem były jego uczeń nie drwi sobie z niego; ale już było późno i trzej odwiedzający opuścili obserwatoryum.

Więc profesor urządził kalendarz galicki. W każdym razie należy nadmienić, iż on tylko jeden posługiwał się nim i że nikt nie rozumiał go, gdy prawił o 47m kwietnia, albo 118 maja.

Tymczasem nadszedł czerwiec — według starego kalendarza, w ciągu tego miesiąca Galia miała przebiedz dwadzieścia siedm milionów pięćkroć stotysięcy mil i znaleźć się w odległości stu pięćdziesięciu pięciu mil od słońca. Temperatura zniżała się ciągle, ale atmosfera pozostawała tak czystą i spokojną jak poprzednio. Wszystkie czynności powszedniego życia spełniały się na Galii z regularnością, można nawet powiedzieć, z jednostajnością najzupełniejszą. Dla zamącenia tej monotonii dość było takiej osobistości hałaśliwej, nerwowej, kapryśnej, a nawet cierpkiej, jak Palmiryn Rosette. Gdy raczył przerwać swe obserwacye i zejść do sali wspólnej, wizyta jego zawsze wywoływała jakąś nową scenę.

Rozprawy niezmiennie prawie toczyły się o tem, że nie zważając na niebezpieczeństwo nowego spotkania się z ziemią, kapitan Servadac i jego towarzysze zachwyceni byli tem, że to ma nastąpić. To przyprowadzało do rozpaczy profesora, który nie chciał słyszeć o powrocie i w dalszym ciągu studiował Galię, jak gdyby miał na niej pozostać na zawsze.

Pewnego dnia, 27 czerwca, Palmiryn Rosette wpadł jak bomba do sali wspólnej. Tam znajdował się kapitan Servadac, porucznik Prokop, hrabia i Ben-Zuf.

— Poruczniku Prokopie! — zawołał — odpowiadaj pan bez wykrętów i bez ogródki na pytanie, które panu postawię.

— Ależ ja nie mam zwyczaju... — odparł porucznik Prokop.

— No, no! — przerwał Palmiryn Rosette, traktując porucznika, jak profesor ucznia. — Odpowiadaj pan na to: czyś odbył pan podróż dokoła Galii na swojej galiocie, i prawie po jej równiku, czyli inaczej po wielkiem kole.

— Tak jest — odrzekł porucznik, któremu hrabia zrobił znak, wzywając by był powolnym straszliwemu Palmirynowi.

— Dobrze — odpowiedział ten ostatni. — A podczas tej podróży, czy nie notowałeś pan drogi przebieżonej przez *Dobrynę*.

— W przybliżeniu — odpowiedział Prokop— to jest za pomocą tak zwanej *loch* i busoli; ale nie za pomocą wysokości słońca, lub gwiazd, czego niepodobna było obliczyć.

— Cóż pan znalazłeś?

— Że obwód Galii musi mieć około dwóch tysięcy trzechset kilometrów, co dałoby siedmset czterdzieści kilometrów długości jej podwójnego promienia.

— Tak jest... — rzekł Palmiryn Rosette — jakby sam do siebie; średnica ta byłaby w ogóle szesnaście razy mniejszą od średnicy ziemi, długiej na dwanaście tysięcy siedmset dziewięćdziesiąt dwa kilometry.

Kapitan Servadac i dwaj jego towarzysze spoglądali na profesora, nie pojmując do czego ten zmierza.

— Otóż — zaczął znowu Palmiryn Rosette— dla uzupełnienia moich studyów nad Galią, pozostaje mi poznać jaką jest jej powierzchnia, objętość, masa, miąższość i natężenie ciężkości.

— Co do powierzchni i objętości — odrzekł porucznik Prokop — to ponieważ znamy średnicę Galii, nie masz więc nic łatwiejszego.

— Czyż powiedziałem, że to trudne? — zawołał profesor.—Wyrachowania takie robiłem już zaraz po przyjściu na świat!

— O! o! — zawołał Ben-Zuf, szukający tylko sposobności, by dopiec człowiekowi pogardzającemu górą Montmartre.

— Niech uczeń Servadac — zaczął znowu Palmiryn Rosette, popatrzywszy przez chwilę na Ben-Zufa — weźmie pióro. Ponieważ znanym jest obwód Galii, proszę wyrachować jaką będzie jej powierzchnia?

— Zaraz, panie Rosette — odrzekł Hektor Servadac — zdecydowany zachować się, jak przyszło na dobrego ucznia. Powiedzieliśmy: że dwa tysiące trzysta dwadzieścia trzy kilometry stanowią obwód Galii; pomnożyć to należy przez średnicę siedmset czterdzieści.

— Tak jest!... i spiesz się pan! — zawołał profesor.—To już powinno było być zrobione! No, i cóż?

— A oto co — odrzekł Hektor Servadac— znajduję w rezultacie milion siedmset dziewiętnaście tysięcy dwadzieścia kilometrów kwadratowych, które przedstawiają powierzchnię Galii.

— Jestto powierzchnia dwieście dziewięćdziesiąt siedm razy mniejsza, aniżeli powierzchnia ziemi, mającej pięćset dziewięć milionów kilometrów kwadratowych.

— Ba! — zawołał Ben-Zuf wydłużając wargi z miną pogardliwą, ubliżającą komecie profesora.

Piorunujące spojrzenie Palmiryna Rosette padło prosto na niego.

— A więc — zaczął znowu — jaka jest objętość Galii?

— Objętość?... — odpowiedział Hektor Servadac — zawahawszy się.

— Czy uczeń Servadac nie umie wyrachować objętości sfery, której znaną jest powierzchnia?

— Owszem, panie Rosette... Ale pan nie dajesz mi odetchnąć.

— W matematyce nie oddycha się, panie, nie oddycha!

Obecni musieli użyć całego zasobu powagi, by nie parsknąć śmiechem.

— Czy dojdziemy do końca? — zapytał profesor — objętość sfery!

— Równa się cyfrze powierzchni... — odrzekł Hektor Servadac jąkając się — pomnożonej...

— Przez trzecią część promienia, mój panie! —krzyknął Palmiryn Rosette.—Trzecią część promienia! Czy już gotowe?

— Prawie. Trzecia część promienia Galii... sto dwadzieścia trzy, trzy, trzy, trzy...

— Trzy, trzy, trzy, trzy... — powtórzył Ben-Zuf przechodząc całą gamę głosu.

— Cicho! — krzyknął profesor — naprawdę zirytowany. Poprzestań pan na dwóch pierwszych dziesiętnych, i opuść inne.

— Opuściłem — rzekł Hektor Servadac.

— No i cóż?

— Tysiąc siedmset dziewiętnaście tysięcy dwadzieścia, pomnożone przez sto dwadzieścia trzy, trzydzieści trzy, czyni dwieście jedynaście milionów czterysta trzydzieści dziewięć tysięcy, czterysta sześćdziesiąt metrów sześciennych.

— Otóż mamy objętość mojego komety!— zawołał profesor. — Jestto już coś!

— Bez wątpienia — zauważył porucznik Prokop — ale objętość ta jest jeszcze pięć tysięcy sto sześćdziesiąt sześć razy mniejszą, aniżeli objętość ziemi, wynosząca w okrągłej cyfrze...

— Jeden trylion czterysta ośmdziesiąt dwa miliardy ośmset czterdzieści jeden milion kilometrów kubicznych!... wiem o tem, mój panie! — odrzekł Palmiryn Rosette.

— A zatem — dodał porucznik Prokop — objętość Galii jest nawet mniejsza od objętości księżyca, która wynosi czterdziestą dziewiątą część objętości ziemi.

— Eh! kto tam mówi panu o tem? — odparł profesor, czując się jakby urażonym w swej miłości własnej.

— A więc — ciągnął dalej nielitościwie porucznik Prokop — Galia, widziana z ziemi, wydawałaby się nie więcej jak gwiazdą siódmej wielkości, to jest nie byłaby widzianą gołem okiem!

— Do wszystkich beduinów! — zawołał Ben-Zuf — a to mi śliczny kometa! I to na nim my jesteśmy?

— Milczeć! — zawołał Palmiryn Rosette gniewnie.

— Orzeszek, groszek, ziarnko gorczycy! — ciągnął dalej uczciwy Ben-Zuf.

— Zamilcz Ben-Zuf — rzekł kapitan Servadac.

— Główka szpilki, co? Nic! nic a nic!

— Będziesz ty milczeć do pioruna!

Ben-Zuf zrozumiał, że kapitan może się rozgniewać i opuścił salę, nie bez tego by nie wybuchnąć donośnym śmiechem, który rozbudził wszystkie echa w skałach wulkanicznych.

Wielki był czas, żeby się oddalił. Palmiryn Rosette tak się uniósł, iż potrzebował kilka chwil, by przyjść do siebie. Bronił on tak samo swego komety, jak Ben-Zuf Montmartre. Każdy broni swego dobra z jednakową gorliwością.

Nakoniec profesor przemówił znowu — zwracając się do swoich uczniów — to jest słuchaczów.

— Panowie — powiedział — znamy teraz średnicę, obwód, powierzchnię i objętość Galii. Jest to już coś, ale jeszcze nie wszystko. Zamierzam jeszcze otrzymać, za pomocą bezpośredniego wymiaru, jej masę i gęstość i poznać jakie jest natężenie ciężkości na jej powierzchni.

— Trudno to będzie — rzekł hrabia.

— Mniejsza o to. Chcę wiedzieć, ile waży mój kometa — i będę wiedział.

— Utrudni nieco rozwiązanie tego zadania— zauważył porucznik Prokop — okoliczność, że nie wiemy z jakiej substancyi Galia jest utworzona.

— A! to nie wiecie, co to za materya? — zapytał profesor.

— Nie wiemy — odrzekł hrabia — i jeżeli pan możesz oświecić nas pod tym względem...

— Eh! panowie, co to mię obchodzi! — zawołał Palmiryn Rosette cierpko — ja i bez tego rozwiążę moje zadanie!

— Jak się panu podoba, kochany profe-

sorze — odrzekł Hektor Servadac; — jesteśmy na jego rozkazy.

— Mam jeszcze ze spostrzeżeniami i wyrachowaniami na miesiąc roboty — powiedział Palmiryn Rosette cierpko — więc pewno zechcecie zaczekać aż skończę!...

— Rozumie się, panie profesorze — rzekł na to hrabia — będziemy czekać dopóki pan zechce.

— A nawet i dłużej! — dorzucił kapitan Servadac — nie mogąc powstrzymać się od zażartowania.

— A więc przychodźcie za miesiąc — powiedział Palmiryn Rosette — to jest 62go kwietnia.

Działo się to 31 lipca roku ziemskiego.

ROZDZIAŁ VI.

W którym przekonamy się, że Palmiryn Rosette ma słuszność utrzymując, że zasoby kolonii są niedostateczne.

Tymczasem Galia krążyła w przestrzeni międzyplanetarnej pod wpływem atrakcyi słońca. Nic do tej pory nie zawadzało jej ruchowi. Planeta Nerina, którą wzięła do swych usług przechodząc przez strefę asteroidów, pozostawała wierną jej i sumiennie wykonywała mały swój obrót dwumiesięczny. Zdawało się, że wszystko powinno odbywać się w porządku przez cały rok galicki.

Ale zawsze główne myśli mimowolnych mieszkańców Galii zwracały się na temat: czy powrócą na ziemię? czy astronom nie omylił się w swych wyrachowaniach? Czy należycie określił nową orbitę komety i czas trwania jego obrotu dokoła słońca?

Palmiryn Rosette był tak drażliwy, iż nie można było zażądać od niego przejrzenia rezultatów jego spostrzeżeń.

Więc Hektor Servadac, hrabia i Prokop ciągle niepokoili się pod tym względem. Co do innych kolonistów, to tych obchodziło to nierównie mniej. Byli to ludzie zrezygnowani, filozofowie praktyczni. Hiszpanie zwłaszcza, biedujący w Hiszpanii, przez całe swe życie nie czuli się tak szczęśliwymi. Negrete i towarzysze jego nigdy nie zaznali takiego dobrobytu. Cóż ich mógł obchodzić ruch Galii? Dlaczego mieli łamać sobie głowę nad tem, czy słońce utrzyma ich w swem kole atrakcyjnem, lub czy też Galia wymknie się od niego i powędruje po innych sferach? Wyśpiewywali sobie, niewiele dbając o to, co się dzieje, a dla hiszpańskiego *majos* najmilszem przepędzeniem czasu jest śpiewanie.

Najszczęśliwszemi dwiema istotami w całej kolonii byli bezwątpienia młody Pablo i mała Nina. Jakże wesoło im było, gdy biegali po długich galeryach Ula Niny lub gramolili się po nadbrzeżnych skałach. Jednego dnia zapuszczali się na łyżwach po zmarzłej jak daleko okiem zasięgnąć powierzchni morza; drugiego łowili ryby w niewielkiem jeziorze, które ciepło wulkanu utrzymywało w stanie płynnym. Nie przeszkadzało to lekcyom, których udzielał im Hektor Servadac. Już rozumieli się najdokładniej, a zwłaszcza pojmowali wzajemnie.

Dlaczegożby ten młody chłopak i ta mała dziewczynka mieli kłopotać się o przyszłość? dlaczego mieliby żałować przeszłości?

Pewnego dnia Pablo powiedział:

— Czy masz ty krewnych, Nino?

— Nie, Pablo, jestem zupełnie sama; a ty?

— Ja także jestem zupełnie sam, Nino. A coś ty tam robiła?

— Pasłam kozy, Pablo.

— Ja — mówił młody chłopak — dzień i noc biegałem przed końmi dyliżansowymi.

— Ale teraz nie jesteśmy sami, Pablo?

— Nie, Nino, wcale nie jesteśmy!

— Gubernator jest naszym ojcem, a hrabia i porucznik są wujami.

— A Ben-Zuf naszym kolegą — dodał Pablo.

— I wszyscy inni tacy uprzejmi — dorzuciła Nina. — Psują nas, Pablo! otóż nie powinniśmy dać się popsuć. Trzeba, by byli zadowoleni z nas... zawsze!

— Ty jesteś taka grzeczna, Nino, że przy tobie każdy grzecznym być musi.

— Jestem twoją siostrą, a ty jesteś moim bratem — rzekła Nina poważnie.

— Rozumie się — odpowiedział Pablo.

Wdzięk tych dwu istot sprawiał — że powszechnie były lubione. Nie szczędzono im ni dobrych słów, ni pieszczot, których część dostawała się i kozie Marzy. Kapitan Servadac i hrabia przywiązali się do nich prawdziwie po ojcowsku. Dlaczegożby Pablo miał tęsknić za rozpalonemi równinami Andaluzyi a Nina za nagiemi skałami Sardynii? Zdawało się im, że świat teraźniejszy był zawsze ich światem.

Nadszedł lipiec. W ciągu tego miesiąca Galia miała tylko dwa miliony mil do przebieżenia po swej orbicie; odległość jej od słońca wynosiła sto siedmdziesiąt dwa miliony mil. Znajdowała się więc oddaloną od niego o półpięta razy więcej aniżeli od ziemi, której prawie dorównywała w szybkości. Średnia bowiem szybkość kuli ziemskiej przebiegającej ekliptykę wynosi około dwudziestu jeden milionów mil na miesiąc, to jest dwadzieścia ośm tysięcy ośmset mil na godzinę.

Dnia 62 kwietnia galickiego kapitan Servadac otrzymał lakoniczny bilet. Palmiryn Rosette zamierzał w dniu tym rozpocząć operacye, które miały go doprowadzić do wyrachowania masy i gęstości komety, tudzież naprężenia ciężkości na jej powierzchni.

Hektor Servadac, hrabia i porucznik Prokop nie omieszkali stawić się na wezwanie. Jednak doświadczenia, jakie miał robić profesor, nie tyle obchodziły ich, co jego samego; woleliby oni dowiedzieć się, co to była za substancya, z której zdawało się, że Galia wyłącznie jest utworzona.

Nad samem ranem Palmiryn Rosette zszedł się z nimi we wspólnej sali. Nie zdawał się jeszcze być w złym humorze; ale dzień dopiero zaczynał się.

Wszystkim wiadomo, co znaczy natężenie ciężkości. Jestto siła przyciągająca, jaką wywiera ziemia na masę ciała równającą się jednostce — a jak przypominamy sobie, ta siła przyciągająca zmniejszyła się na Galii — i fenomen ten naturalnie zwiększył muskularną siłę jej mieszkańców. Ale nie wiedzieli w jakim stosunku.

Masę tworzy ilość materyi stanowiącej ciało i masa ta przedstawia się samą wagą ciała. Co do gęstości, to jestto ilość materyi zawierająca się w ciele danej objętości.

Więc pierwszem pytaniem do rozwiązania było: jakie jest naprężenie ciężkości na powierzchni Galii?

Drugie pytanie: jaka ilość materyi zawiera się w Galii, to jest jaka jest jej masa i, co za tem idzie, waga?

Trzecie pytanie: jaka jest gęstość jej?

— Panowie — rzekł profesor — dziś mamy zakończyć badania rozmaitych elementów stanowiących mego kometę. Gdy poznamy naprężenie ciężkości na jej powierzchni, masę jej i gęstość za pomocą bezpośredniego wymiaru, nie będzie już mieć ona tajemnic dla nas. Jednem słowem, musimy się wziąć do zważenia Galii!

Ben-Zuf, który tylko co wszedł do sali, usłyszał te ostatnie wyrazy profesora. Następnie wyszedł, a po kilku chwilach powróciwszy powiedział z miną drwiącą:

— Przeszukałem cały magazyn i nigdzie nie znalazłem szalek; a zresztą niewiem doprawdy, gdziebyśmy mogli je zawiesić!

Wymawiając te słowa Ben-Zuf spoglądał w górę, jakby szukał ćwieczka w niebie.

Spojrzenie profesora i skinienie Hektora Servadac zmusiło do milczenia niewczesnego koncepcistę.

— Panowie — rzekł Palmiryn Rosette — muszę naprzód wiedzieć, ile waży na Galii kilogram ziemski. Wskutek mniejszej masy Galii i jej siła przyciągająca jest mniejszą, a wynikiem tego faktu jest, że każdy przedmiot waży mniej na jej powierzchni, aniżeli ważyłby na powierzchni ziemi. Ale jaka jest różnica dwóch wag — oto co trzeba poznać.

— Niemasz nic słuszniejszego nad to — odrzekł porucznik Prokop — i zwykłe szalki, gdybyśmy je mieli, nie mogłyby posłużyć do tej czynności, ponieważ oba ich blaty zarówno podlegałyby sile przyciągającej Galii, więc nie mogłyby wykazać stosunku między wagą galicką a ziemską.

— W samej rzeczy — dorzucił hrabia — naprzykład kilogram ziemski, którym posłużymy się, tyle straciłby ze swej wagi, ile przedmiot do którego zmierzenia on by posłużył i...

— Panowie — przerwał Palmiryn Rosette — jeżeli mówicie to dla osobistego poinformowania mnie, to tracicie tylko czas i proszę was, byście mi pozwolili ciągnąć dalej mój wykład fizyki.

Profesor wyraźnie przemawiał, jak gdyby z katedry.

— Czy macie bezmian i ciężarek ważący kilogram? — zapytał. — Wszystko zależy od tego. Przy bezmianie wskazuje wagę drut stalowy albo sprężyna, działające według swej giętkości, lub naprężenia. Więc atrakcya nie wpływa tu bynajmniej. Bo w samej rzeczy, jeżeli zawieszę ciężar jednego kilogramu ziemskiego na moim bezmianie wskazówka oznaczy dokładnie, ile waży ten kilogram na powierzchni Galii. Poznam zatem różnicę istniejącą między przyciąganiem Galii a ziemi. Powtarzam więc moje pytanie: macie bezmian?

Słuchacze Palmiryna Rosette spojrzeli po sobie. Potem Hektor Servadac zwrócił się do Ben-Zufa, który najlepiej znał wszystkie zasoby kolonii.

— Nie mamy ani bezmianu, ani ciężarku kilogramowego — odpowiedział ordynans.

Profesor wyraził swe niezadowolenie silnem tupnięciem nogą.

— Ale sądzę — ciągnął dalej Ben-Zuf — iż wiem, gdzieby się znalazł bezmian, jeżeli nie ciężarek.

— Gdzie?

— Na statku Hakhabuta.

— Trzeba było powiedzieć to odrazu, niezdaro! — zawołał profesor ruszając ramionami.

— A głównie trzeba tam pójść po niego! — dodał kapitan Servadac.

— Idę — rzekł Ben-Zuf.

— I ja idę z tobą — zawołał Hektor Servadac — Izaak Hakhabut pewno robić będzie trudności, gdy będzie chodzić o pożyczenie czegokolwiek.

— Chodźmy wszyscy — rzekł hrabia.—Zobaczymy, jak Izaak urządził się na *Hanzie*.

Gdy wszyscy zabierali się do wyjścia, profesor rzekł:

— Panie hrabio! czy którykolwiek z ludzi pana nie mógłby wystrugać z tej masy skalistej kawałek mający równo jeden decymetr kubiczny.

— Mechanik mój zrobi to z łatwością; ale z jednym warunkiem, a mianowicie, gdy będzie miał metr dla otrzymania dokładnej miary.

— Czyż nie macie tak samo metra jak i bezmianu? — zawołał Palmiryn Rosette.

Nie było żadnego metra na składzie głównym. Ben-Zuf z przykrością musiał przyznać się do tego.

— Ale — dodał — bardzo być może, iż metr znajdzie się na *Hanzie*.

— Więc chodźmy! — odrzekł Palmiryn Rosette i szybko popędził główną galeryą.

Wszyscy udali się za nim. W kilka chwil potem, Hektor Servadac, hrabia, Prokop i Ben-Zuf schodzili z wysokich skał panujących nad brzegiem. Następnie zwrócili ku wązkiej zatoce, w której *Dobryna* i *Hanza* uwięzione były wśród lodów. Chociaż temperatura była bardzo niska, gdyż wynosiła trzydzieści pięć stopni poniżej zera, jednak należycie odziani, osłonięci futrami, kapitan Servadac i towarzysze jego dość łatwo znosili zimno. Jeżeli brody ich, rzęsy, brwi pokryły się nagle drobnemi kryształami, to pochodziło ztąd, że para ich oddechu zamarzała wskutek oziębionego powietrza. Twarze ich, najeżone białemi igłami, ostremi jak kolce jeża, bardzo komicznie wyglądały. Twarz profesora, którego niewielka figurka czyniła podobnym do niedźwiadka, szczególnie komiczne sprawiała wrażenie.

Była godzina ósma rano. Słońce szybko podążało ku zenitowi. Krąg jego, znacznie zmniejszony, z powodu oddalenia, przedstawiał się w kształcie księżyca. Promienie spadały na ziemię bez ciepła i szczególnie osłabione w swych świetlnych własnościach. Wszystkie nadbrzeżne skały u stóp wulkanu i sam nawet wulkan, bielały niepokalaną białością wskutek spadłego niedawno śniegu, czyli raczej pary stężałej nim spadła na ziemię. Na północnej pochyłości zlewała się kaskada lawy. Tam śniegi ustąpiły miejsca potokom ognia, wijącym się kapryśnie pomiędzy skałami aż do zatoki przy głównej pieczarze, zkąd prostopadle spadały w morze.

Ponad pieczarą, o sto pięćdziesiąt stóp wyżej znajdował się rodzaj czarnej dziury, z której sterczała rura lunety astronomicznej. Było to obserwatoryum Palmiryna Rosette.

Morskie wybrzeże było zupełnie białe i zlewało się w jednę całość z zamarzniętem morzem; żadna linia demarkacyjna nie rozdzielała ich. Z białością tą był w pewnej sprzeczności sinawy błękit nieba. Na wybrzeżu ukazywały się tu i ówdzie ślady kolonistów, którzy codziennie bywali w tej stronie, bądź to dla zbierania lodu, który stopiony dawał wodę słodką, bądź dla ślizgania się na łyżwach. Ślady zakreślane łyżwami krzyżowały się na stwardniałej powierzchni, jak owe koła, które wodne owady zataczają na powierzchni wody.

Ślady kroków widne także były w kierunku *Hanzy*. Były to ostatnie, które wydeptał Izaak Hakhabut. Brzegi tych śladów stwardniały jak brąz od ogromnego zimna.

Około pół kilometra oddzielało ostatnie wyżyny od tej zatoki, gdzie zimowały dwa statki.

Przybywszy tam, porucznik Prokop zwrócił uwagę na to, jak linia wodna Hanzy i Dobryny podniosła się stopniowo. Oba statki wznosiły się teraz o jakie dwadzieścia stóp nad powierzchnią morza.

— To ciekawy fenomen — rzekł kapitan Servadac.

— Ciekawy i niepokojący — odpowiedział porucznik Prokop. — Widocznie pod tułowem statków, gdzie nie jest zbyt głęboko, woda zamarza. Skorupa jej grubieje powoli i podnosi wszystko, co się na niej znajduje, z siłą nieprzepartą.

— Ale podnoszenie to będzie mieć jakiś koniec? — zauważył hrabia.

— Nie wiem, ojcze — odrzekł porucznik Prokop — ponieważ zimno nie doszło jeszcze do swojego maximum.

— Spodziewam się! — dodał profesor.— Nie warto by było robić dwóchset milionów drogi, by znaleść temperaturę nie większą jak pod biegunami ziemi!

— Bardzo pan jesteś łaskaw, panie profesorze — odpowiedział porucznik Prokop. — Na szczęście zimno w przestrzeni nie przekracza sześćdziesięciu do siedmdziesięciu stopni, co zresztą jest już bardzo pięknem.

— Ba! — rzekł Hektor Servadac — zimno bez wiatru, to jak mróz bez kataru i pewno przez całą zimę nie kichniemy nawet ni razu?

Porucznik Prokop wynurzył hrabiemu swe obawy z powodu położenia galioty. Ponieważ pokłady lodowe tworzyły się stopniowo, było więc możebnem, że *Dobryna* podniesie się na znaczną wysokość. Przy takich warunkach, w razie odwilży, obawiać się należało katastrofy, w rodzaju tej, jaka często niszczy statki, zajmujące się połowem wielorybów, zimujących w morzach arktycznych. Ale jak temu zaradzić?

Zbliżono się do *Hanzy* osłoniętej skorupą lodową. Stopnie, wykute niedawno w lodzie przez Izaaka Hakhabuta, pozwalały wejść na pokład. Zachodziło pytanie, co on pocznie, gdy statek podniesie się o jakie sto stóp w górę? Ale była to jego rzecz.

Lekki dymek niebieskawy wylatywał z miedzianej rury, wysuwającej się z pośród śniegu nagromadzonego na pokładzie *Hanzy*. Skąpiec palił nadzwyczaj oszczędnie, ale nie musiał wiele cierpieć od zimna. Pokład śniegu okrywający statek, jako zły przewodnik ciepła, utrzymywał wewnątrz znośną temperaturę.

— Hej! Nabuchodonozorze! — krzyknął Ben-Zuf. (C. d. n.)

POGADANKI O WŁOSZECH

OLGI HR. KOMOROWSKIEJ.

II.

(Dokończenie).

Przyczyną tego w części jest charakter Włochów, nie umiejący się nagiąć do życia regularnego i zamkniętego w ciasnych, dusznych lokalach, czy to fabryk, czy też nawet innych zakładach wywierających wręcz dobroczynny wpływ na ich dobrobyt osobisty.

Każde z większych miast, posiada jeżeli nie wspaniałe, to przynajmniej obszerne szpitale dla chorych, ochronki dla podrzutków, przytuliska dla starych; zewnątrz często bardzo na zamożne pałace wyglądające, zdobne w piękne, artystyczne frontony; wewnątrz, urządzone czyściej bez porównania, i wygodniej od własnych domów pospólstwa biednego; ale pałace owe albo przytuliska są wszędzie prawie na poły puste; chorzy wolą umierać na nędznem ale własnem łóżku, choćby łachmanem okryci, w otoczeniu do którego przywykli za życia, w gronie rodziny, co często nawet i niepotrzebnej czułości nie udaje; krząta się koło codziennych zatrudnień biednego życia, tuż przy łożu konającego, szepcąc pacierze. Starcy mało jeść potrzebujący, a mając dostateczne ogrzanie w ciepłych promieniach zimowego nawet słońca, niechętnie oddają się w ręce przymusowych opiekunów; podrzutków, stosunkowo do innych krajów jest tu daleko mniej niż gdzie indziej, z przyczyn, które natychmiast wymienimy.

Potrzeby ludu biednego, a nawet i nieco wyższych klas, są dotąd jeszcze bardzo ograniczone. Pomywacz kuchenny, zarabiający 15 fr. miesięcznie, tragarz, 20 do 25, rybak, co Bóg da' na morzu, szewc, tak zwany „ciabattino" robiący obuwie ludowe, sandałki i proste buty; chłopak ostrzący noże na ulicach; czyszczący buty przed drzwiami teatru; kochają się bezwątpienia równie jak mały urzędnik poczty, handlu, telegrafu i biόra, od 700 fr. do 3000 zarabiający rocznie. Pierwsi żenią się zaledwie uzbierają 30 fr., na taksy zapowiedzi municypalnych i ślubu kościelnego; żenią się, zapewne jak wszędzie, często bardzo nie z westalkami, ale właśnie dlatego, aby przyszłemu potomkowi zapewnić życie i utrzymanie. Włoch z natury jest wybornym ojcem, jeżeli nie najwierniejszym z mężów; jeśli postępowanie kobiety zmusi go ją opuścić. o ile może być pewnym ojcowstwa, nigdy dobrowolnie o niem nie zapomina; chyba że matka sama odmówi. a i wówczas jeszcze ojciec, choć z dala czuwa nad losem dziecięcia, i w danej chwili umie się oń upomnieć.

Mówią wiele za granicą, a mianowicie we Francyi, o rozwiązłości włoskiej; jest to falsz wierutny; od lat tylu zamieszkując Włochy, jesteśmy upoważnieni ścisłemi poszukiwaniami, opartemi na statystyce, dowieść, że moralność nie jest tu mniejszą, niż w innych niezaprzeczenie oświeceńszych krajach. Nie mówimy tu o wyższych warstwach społeczeństwa, cywilizacyą zrównanych dziś we wszystkich niemal krajach Europy; ale o ludzie i klasach średnich.

Związki małżeńskie, utrudnione prawami pruskiemi, chcącemi dowodów, iż małżonek ma z czego utrzymać rodzinę; we Francyi wymaganiami kobiet i ich bezczelną nieraz natrętnością opóźniane, a często i za niepotrzebną zupełnie formalność uważane; w Anglii, tysiącznemi krępującemi drobnostkami, kościelnemi i rządowemi pod pozorem moralności, właśnie na szwank wystawione; — we Włoszech, żadnym przeszkodom nie ulegające, bujają na wolności. Szkodliwy to może wpływ na dobrobyt ogólny wywiera, mnożeniem się zbyt licznych drobnych istot jadła potrzebujących, starań matek wymagających, i zmuszających niejako rodziców, do pracy za choćby niesłychanie liche wynadgrodzenie; ale uwalnia towarzystwo od równie z pewnością szkodliwego, jeśli u źródła samego wziąć je zechcemy żywiołu, owych nieszczęsnych podrzutków, żółci i rozpaczy pełnych, pozbawionych serca i opieki rodzicielskiej, i na świat się rwących z całą zapalczywością dusz, nieznających żadnej czułości, żadną łzą nie wzruszonych.

Brak tego żywiołu we Włoszech czyni że dążenia wolnomyślnych czerwieńców, daleko mniej gwałtowną cechę tu noszą, niż w innych sąsiednich krajach; agenci prawią, radzą, ale mało kto słucha podszeptów, czasem ktoś niedoświadczony w łapkę wpadnie, ale mordy, pożogi, całopalenia ludzkie do serc nie przystają; łatwiej umysły gniewem chwilowym, zazdrością lub szałem miłości porwane, dozwolą ręce podnieść nóż wyostrzony i wrazić pod naciskiem rozgorączkowanej krwi choćby w pierś brata, aby potem w otrzeźwieniu, szlochając paść mu na łono i samemu w ręce sprawiedliwości się oddać, ale mało jest takich, coby z umysłu, dziką zawiścią oślepli, powolnie, zemstą pałając ukrytą, podkopywali porządek społeczny, niszczyli najświętsze węzły, i wszystko do nicości sprowadzali.

Pod wpływem nagłego oburzenia, Włoch jest w stanie targnąć się i na swojego świętego, patrona gdyby mu w drodze stanął; ale na zimno, prze-

myślnie nie będzie srogim, oprócz jednego Sycylijczyka, dla ludzi; dla zwierząt znowuż, ten sam grzeczny, łagodny, miękki Włoch, jest nieubłaganym prześladowcą nie umiejącym i nie chcącym wejść w cierpienia istoty, podług nauk jego religii, duszy pozbawionej.

Powiedzieliśmy jego religii, gdyż chociaż katolicko-rzymska, pozostała jednak dziwną mięszaniną pogaństwa, obojętności cynicznej, i dobroduszności, cechujących owe za pan brat przestawanie ludu z bogami Olimpu. Księża nauczyli ich, że zwierzęta nie mając duszy, a oddane przez Boga samego na użytek i posługę ludzi, nie mogą cierpieć; znęcanie się więc ludzi nad niemi jest rzeczą dozwoloną tak jak wolno łamać kamienie, rwać kwiaty, lub fale morskie pruć szybkiemi łodziami. „Nie mają duszy i nie czują nawet kija" zapewniał raz pewien wieśniak toskański, kiedyśmy wyrzucali mu zaciętość, z jaką bił grubym kijem biednego, na pół omdlałego konia; a choć staraliśmy się wytłumaczyć mu, że to nie dusza tylko cierpi uderzenia kija, ale ciało podległe równym warunkom jak jego własne, przestał bić nie przekonany, ale aby nam zrobić przyjemność, jak zaręczał; i było to prawdą.

Religia więc ta, nieco błędnie przez mało oświeconych księży w masach prostego ludu zarysowana, pełna przesądów, baśni, cała materyalna, dotykalna, rzecby można; religia ta z pogaństwa czerpie to wszystko, co ją podtrzymywało przez tyle wieków, i wobec najsmutniejszych dla samejże wiary przykładów, z góry płynących, aż dotąd podtrzymuje.

Jak dawniej bogowie, boginie, bujali wesoło po świecie, wśród lasów, łąk i poświęconych wzgórzy; tak teraz bujają aniołowie, święci, błogosławieni, a im dalej na południe dążysz tem owo bujanie coraz bardziej w miłośne spacerki podchmielonych bogów się zmienia. Są tam święci dziwnych nazw, obyczajów i gustów; każda wieś ma swego opiekuńczego patrona lub patronkę, i nie rzadko legenda żywcem z Hezyoda zdaje się być wyjętą. Na cześć ich odprawia się trochę nabożeństwa w kościele, ale dużo bardzo ogni sztucznych się pali na placu przed ratuszem, zajada smacznych rzeczy na ten dzień umyślnie w gastronomicznym kalendarzu zanotowanych, muzyka z pobliskich siół i miasteczek wygrywa skoczne walce i polki przed niosącym relikwie święte celebrantem, a odpowiadają jej mnogie wystrzały z muszkietów i starych strzelb, a nawet schowanych na ten cel jaszczyków, czemu znów wtoruje płacz przelęknionych dzieci, wycie psów i rozpaczliwe pianie rozbudzonych wieczorną wrzawą kogutów.

Zdarzyło nam się być tego lata na jednym z podobnych odpustów, w maleńkiej mieścinie zwanej Fiumalbo, na północnym stoku Apenin, w modeńskiej prowincyi. Znajomy nam właściciel tamtejszy, wiedząc, że się zajmujemy ludowemi uroczystościami, zaprosił nas do swego obszernego i z całym wiejskim komfortem urządzonego domu, a wieczór towarzyszył do kościoła, na plac, do sali balowej a nawet i teatru...

Tak jest teatru, z sali ratuszowej na tę uroczystość przerobionego, w którym obojej płci amatorowie miejscowi, odgrywali w narzeczu tamtejszem bardzo śmieszną farsę do okoliczności zastosowaną.

Towarzyszył nam pewien niemłody już i bardzo sztywno-pobożny formalista angielski, co chwila obrażający się na owo profanowanie tajemnic świętych wiary. Właściciel ów, co nie był ateuszem, ani wolnomyślnikiem, przeciwnie należał do bractwa „błękitnej chorągwi" i był jednym z członków różańca, zapytał się siedzącego Anglika z niedowierzaniem:

„Jak to, czy pan sądzisz doprawdy, że Bóg ojciec i święci w niebie mają być zadąsanymi staruchami i gderliwymi mnichami, nie lubią muzyki, śpiewu i wrzawy ludzkiej, do której ci ostatni za życia należeli, a pierwszy sam natchnął. W błękitnem owem niebie, gdzie zamieszkują, miałyżby się znajdować szare nudy, a nie jasne wesele, jak nam obiecują".

Zasępiony Anglik udobruchał się, a wskazując na okolicę rozjaśnioną księżycem, błyszczącemi muszkami, i stosami gorejącego po wzgórzach na cześć świętych łuczywa, dźwięczącą śpiewem świerszczy, głosami rozszalałych dzwonów i wesołych bractw hymnami, rzekł pogodniej:

„To prawda! mogąż oni myśleć na seryo, że i Bogu to się nie podoba?"

Co na północy, skupieniem ducha, rozmyślaniem, natchnieniem jasnowidzenia trzeba zastąpić, tu uderza o zmysły raczej, i dlatego religia Włochów jest łatwą, wesołą, nieopatrzną jak uśmiech młodzieńca, choć nad nią również wieki burz i namiętności zawisły.

Bóg ojciec z Jowiszem, Chrystus i Apollo, Marya dziewica i Wenus lubieżna, aniołowie i amoryny, bratersko pląsają w głowach, na płótnach, i w rzeźbach śmiejącej się krainy. Ani klątwy Watykanu jej nie trwożą, ani petreol komuny czerwonym żarem nienawiści nie otacza; w literze wiary siedzi ukryta obojętność, a dodatki zasłaniają jej ducha.

Właściwą kwestyą religijną trudnią się tu tylko ci, co ster rządu trzymają; lud o niej nie myśli, igrając jak przed wiekami na odpustach; a wyższe klasy ziewają spokojnie, mówiąc iż temat wyczerpany i bez zajęcia dziś już dla nich. Kościoły są pełne co niedziela, śluby się w nich odbywają uroczyście, chrzczą dzieci i bierzmują, a na pogrzebach, długimi rzędami, obok zakapturzonych braci miłosierdzia, idą księża, zakonnicy, spokojnie nucąc pod nosem jednostajne modły.

Nic się nie znieważa, bo w gruncie serca nic się nie czciło, tylko powierzchownie, jak i dziś.

SPRZECZKA

(żarcik etymologiczny.)

— Zatem kolega uważa,
Że *Brednia* idzie od *Dzwonka;*
Niech kolegę nie obraża,
Lecz taki źródłosłów — mrzonka.
— Nie mrzonka; a więc kolego
Od czego *Brednia* u ciebie?
— Dobre pytanie! od czego?
Od *Wiednia*, jak Bóg na niebie!

— Nigdy! skoro biją w dzwony
Co natenczas ucho chwyta?
Same bezsensowe tony.
Brednia od *Dzwonka* i kwita.
— Nie, od *Wiednia*; analogia:
Wiedeń często brednie rodzi.
— To ma być etymologia!
To niczego nie dowodzi!

— Owszem, etymologicznie!
Patrzmy co wychodzi z *Wiednia?*
Wied-Wid-Wed — a co, jak ślicznie!
Wed-Bed-Wred-Bred-Wrednia-Brednia.
— O, o, o, o, protestuję!
Tu nie ma logicznej gamy!
— Nie ma? niech więc ją wysnuje
Kolega z *Dzwonu*, słuchamy.

— I owszem, na zawołanie,
To sprawa dla mnie powszednia;
Dzwoń-Doń-Diń-Deń — a co panie!
Deń-Beń-Dreń-Breń-Drednia-Brednia.
— Nie ma sensu! jak od *Dzwonka,*
Tak można wywieść od *Wieprza!*
— A od *Wiednia*, jak od *Bąka!*
Głupstwo! moja *Brednia* lepsza!

M. Rodoć.

Z ALBUMU HALINY.

DO PANI W.

Z liczby ptaków za godła służą ptaki cztery:
Pierwszy prowadzi mędrców — drugi bohatery —
Trzeci jest ptakiem sztuki — a czwarty słodyczy.

Dwie połowy ludzkości wzięły je w podziale:

Jak w mężczyźnie cenimy, gdy przy orlej chwale
Z cichym ptakiem Minerwy w kraje wiedzy wzlata,
Tak w kobiecie wielbimy, kiedy głos słowiczy
Z sercem gołębiem pobrata.

Na Jasnej Górze 9. października 1854.

Deotyma.

DO PANI W.

Księga Twych wspomnień przeszła w mą rękę,
Chcesz, bym w niej moje zamieścił imię;
Jakąż Ci zdołam złożyć piosenkę
Po Deotymie?
Kto w długiem życiu sen życia prześni,
Ten wziął już rozbrat z próżności grzechem,
Więc do złożonych ku czci Twej pieśni,
Dozwól być echem.

Kraków 3. listopada 1854.

Fr. Wężyk.

PANNA KAPITANÓWNA

przez

MARKA POLNICZA.

(Ciąg dalszy.

XV.

Pani audytorowa Głuńska, ładna dość wdówka po serdecznym przyjacielu kapitana, zaproszona na wesele, przyjechała także ze Stryja i właśnie weszła w tej chwili majestatycznym krokiem z alkierza, wlokąc za sobą pretensyonalnie sążnisty ogon swej sukni z ciężkiej morderowej materyi.

Rozstąpili się mężczyźni; pani Głuńska usiadła obok pani sędziny Afrodziewiczowej i pani doktorowej Belbauerowej, rozmawiającej właśnie z panem kasyerem Tecudzińskim o projektowanem małżeństwie pana Dyrdaka, inżyniera kolei żelaznej, z panną Emilią Falconi, siostrzenicą pani audytorowej Głuńskiej, która odesłała pierścionek narzeczonemu tejże panny Emilii, panu Hołapce, z powodu jego skandalicznego romansu z panią Izabelą Kutraczkową, primo voto niegdyś majorową Lulczyńską.

— Zamienić Hołapkę na Dyrdaka, nie wielka rzecz! — rzekła pani Belbauerowa do pana Tecudzińskiego.

— Ha, ha, i pan Hołapka nie wielka partya! — zauważyła pani Afrodziewiczowa.

— To nie każdemu uda się tak jak kapitanowi wydać córkę za...

— Pewnie!

— Ależ go łapali!

— Ajaj!

— Cicho... Głuńska idzie.

— Jaka śmieszna z tym swoim ogonem.

— Wielka pani...

— Akurat!

Koło pani Głuńskiej, jakby koło królowej salonu zebrało się zaraz kółko mężczyzn.

— Ależ panna młoda dziś blada! strasznie blada! — rzekła pani Głuńska.

— Zwykle tak bywa, — zauważył pan Antoni.

— Oh, bardzo bledziuchna, jak kwiatuszek ścięty! — wtrąciła sentymentalnie panna Sylwerya, o której mówiono, że wiersze pisuje.

— Jutro będzie sem jeszcze bledsza... prorokował kapitan i poklepał Mikołaja po łopatce.

Mikołaj spojrzał ukradkiem na Floryana, Floryan na Mikołaja.

— Ale bo i pan narzeczony blady dziś! — zauważyła pani Belbauerowa.

— Ja? o nie! — wypierał się pan Mikołaj.

— Wszyscyśmy dziś bladzi — odezwała się znowu pani Głuńska. I jam dziś także blada, bom przez całą noc prawie oka nie zmrużyła.

— A czemuż pani zasnąć nie mogła? — zapytał pan Antoni.

— Wyobraź pan sobie, panie dyrektorze,

w sąsiedniej stancyi w hotelu zachorował jakiś staruszek, dostał ataku apopleksyi...

— A w którym pani hotelu stanęła? — zagadnął pan Mikołaj.

— W Podolskim.

— *Potz-tausend* czy to nie Czecieczewicz? on tam stoi w tym hotelu...

— Nie wiem, nie pytałem, jak się nazywa.

— Pewnie on! co? — zawołał przerażony pan Antoni.

Ruch się zrobił niezwykły, pan Antoni trzymał już kapelusz w ręku, zabierając się do wyjścia.

Mikołaj widocznie zelektryzowany był tą wiadomością. Różne jakieś myśli i przypuszczenia świtały mu w głowie: a nuż stary żadnego nie napisał testamentu? a nuż list pokazywany przez Floryana był sfałszowany? a nuż Dziunia sukcesorką? Rozbijał się pan Mikołaj po pokojach za kapeluszem, roztrącał gości, oczy dziwnym świeciły mu blaskiem. Znalazł wreszcie zgubę pod krzesłem pani Głuńskiej.

— Ja tam pojadę! — zawołał do kapitana.

Kapitan pochwycił go za ramię.

— O nix! nix pojadę! pan młody musi sem tu zostać, tu przy pannie młodej. Nie pozwalam. Nem sabat!

I wyrwał mu kapelusz z ręki.

— Ależ wypada, panie kapitanie!

— Ale nie! po co?... Nie wypada! Jeśli Czecieczewicz sem zachorował, tobyś się jeszcze spóźnił na ślub. *Nem lecht!!...* Herr Director (rzekł obracając się do pana Antoniego), niech pan jedzie i wraca nam zaraz raportirować.

— A wracajże pan spiesznie!... — dodał Mikołaj gorączkowo, odprowadzając pana Antoniego do drzwi.

Spotkały się ich spojrzenia i odgadli się obaj. Zdawało im się przynajmniej, że się odgadli. Zazdrością iskrzyły się wypukłe oczy Antoniego, wzrok Mikołaja wydał mu się tryumfującym wzrokiem człowieka, który wygrał wielki los, ale nie jest jeszcze tego pewnym. Nigdy go pan Antoni nie nawidził tak serdecznie jak w tej chwili.

Spojrzał na zegarek, wsiadł do fiakra i pojechał.

XVI.

— Panie kapitanie dobrodzieju!

— Nix dobrodzieju, nix panie kapitan! kochany Mikołaju, nazywaj mnie... jakże tam? Schwiegervater!

— A więc kochany teściu!.. Czy nie masz pan jakiego listu od pana Czecieczewicza?

— Listu? Nie, nie pisał mi nic, nie otrzymałem — odrzekł kapitan zdziwiony zapytaniem.

— Jakto? nigdy?

— Ja, so! dawniej pisał nieraz.

— To wszystko jedno, mnie idzie tylko o to, abym zobaczył jego pismo.

— A na co to? wozu das? — zapytał kapitan zaciekawiony.

— Pokazywano mi list podpisany przez niego, przysłany do redakcyi... a ja mam podejrzenie, że to list sfałszowany.

— Schaut's!... A cóż w tym liście było? — zapytał kapitan otwierając biórko. I wyszukawszy list Czecieczewicza podał go Mikołajowi.

— Jakto? to jego własnoręczne pismo?

— Ja wohl, własny jego charakter.

— Taki pewny, śmiały, jakby młodzieńczy... a litery duże...

— Ha, ha, jak dragony na koniach!

— A tamten list był pisany drobniutko, jakby makiem zasiał, — a drżącą ręką.

— Ah, das ist infam! a co tam stało napisane?

— Nic... nic... — odrzekł Mikołaj nieco zmięszany. — Pan Czecieczewicz zaprzeczał pogłosce o swej śmierci i donosił o zamierzonej fundacyi na cel jakiś dobroczynny....

— Das ist eine infame Lüge! — wrzasnął kapitan oburzony do żywego. — On żadne fundacye nie będzie robić. Meiner Seele żadne! On wszystko będzie zapisać Dziuni!...

— Czekaj Florku! — pomyślał Mikołaj — wytnę ja ci finfę aż ci w pięty pójdzie... Ach, ach, byle to tylko była prawda, że Czecieczewicz miał dziś w nocy atak apopleksyi!.. Ha, trzeba czekać na Antoniego. Jeżeli Czecieczewicz! ho, ho, ho, to panna Dziunia moja, a Florkowi figa!

I zbliżył się do Kalasantego, aby mu dać jakąś tajną instrukcyę i odwołać dawniejszy rozkaz, którym go był oddał pod komendę Florka.

Nie udało mu się jednak, co zamierzał. Około p. Kalasantego utworzyło się kółko słuchaczy, któremu on coś z wielkim zapałem prelegował. Mimo kilkakrotnych usiłowań, nie mógł go pan Mikołaj odciągnąć na stronę, aby z nim pomówić. Odszedł więc i usiadłszy przy pannie Sylweryi, wdał się z nią w rozmowę o poezyi wiejskiego życia.

XVII.

Eksprofesor rozprawiał tymczasem z niesłychaną werwą, gestykulował, podnosił głos i zniżał do tajemniczego szeptu, apostrofował po kolei każdego z tych, co go otaczali, rozpinał frak i zapinał, a nieustający potok wyrazów przelewał się przytem jego ustami tak szybko, że często ani wyrazu nie domówił, ani zdania nie skończył, a nowe już do ust mu się cisnęło. Przerwać mu było niepodobieństwem. Niekiedy jedno zdanie dziesięć razy raz po raz powtórzył z szybkością koła lokomotywy, które ruszywszy z miejsca coraz prędzej się obraca. Tu znowu jak rozpędzony pociąg myśl jego wyskoczyła z wytkniętej kolei, niedomówiony okres oratorski rozbił się i roztrzaskał w luźne wyrazy, a mowca niestrudzony ulatał już myślą w inne sfery. Tu i owdzie błysła jakaś myśl, jakiś koncept jowialny, pan Kalasanty roześmiał się jakby sam z siebie, zacierał ręce z radością, brał się pod boki, przysiadał i wspinał się na palce a pot kroplisty przytem spływał mu z czoła. Nie dając folgi swemu językowi, szukał pan Kalasanty chustki we wszystkich kieszeniach swego ubrania, a zamiast chustki wyciągał wreszcie kawał bibuły i czoło nim ocierał ku wielkiemu zadowoleniu spektatorów.

Z tem wszystkiem wyglądał on raczej jakby ekscentryk facecyonista, który przebrał miarę w trunku, a nie jako były lokator domu „Pijarów“.

Głównym tematem tej prelekcyi, było — jak mniemano, żartobliwe dowodzenie, — że loterya liczbowa podaje jedyny sposób praktycznego rozwiązania problematu kwadratury koła.

— Bo to trzeba było się na głowie postawić, ażeby tego docieć... Panie Afrodziewicz, postaw się pan na gło... Ja to sprawiłem, jakem wielki, dumny, tyle głów hyd... Cyfry nie mylą, panie... Jak się pan nazy... Cyfry, cyfry, cyfry, cyfry... Fortuna kołem się toczy! kołem!... A w kole co?... Gdyby Wojciechowa wel... byłaby wygra... Co w kole? Same amby? nie! amby i terna tylko? Ekstrakta? nie, nie, nie.. o! słuchajcie! panie Konstanty, słuchajże pan, tu o pana idzie... Są tam wszystkie, wszystkie możliwe... co? wszystkie możliwe kwa-ter-na! Kwaterna! Otóż macie! uczcie się greki! Co znaczy *tessara?* co? no, i tego nie wiecie? aj os... Znaczy: cztery! quatuor to jest kwaterna na loteryi... na jakiej? tessara cesarskiej! Postawcie się na głowie!... zawołajcie Eureka!... No, panie Tecudziński! postaw się pan na gło... quatuor, kwadra księżyca, kwatera, kwarta wódki, kwadrat, kwaterno — to wszystko quatuor ze sobą kwadruje i wszystko w kole się mieści... a fortuna kołem się obraca... kołem, kołem, turrr... turrrr... turrrrr... Panie tego, a wszystkich naraz kwa... nikt nie wyciągnie choć one są wszystkie w kole... to też każdy ma swoją własną kwadraturę!... każdy ma swoją własną kwadraturę!... kwadra... kwadra... kwadra... kwadraturę... Ja mam taką, w czarnym fraku, w białej krawacie!... A pan jaką, panie sędzio?... Inspektor powiedział, żebym do Leśnej Wólki... Jaką? postaw się pan... In Ruhestand versetzt... ja nie chcę... inspektor utrzymuje, że moja kwadratura nic nie warta!... a ja powia.. Czego się pan śmieje, panie sędzio? Postaw się pan na głowie! pokaż mi pan swoją kwadraturę! no, prędzej, prędzej, prędzej!... (C. d. n.)

KRYTYKA.

Polacy w południowo-zachodnim kraju: ustęp tomu VII. dzieła p. t. Prace etnograficzno-statystycznej ekspedycyi do zachodnio-russkiego kraju.

(Ciąg dalszy.)

Zwyczaje, obyczaje, rodzinne i publiczne życie. Rozdział ten, a raczej niektóre w tym rozdziale ustępy, z wyrzuceniem tych przytyków, które mają na celu zwalenie winy wyłącznie na barki szlachty polskiej, są tak napisane, że podpisać by je mógł i bezstronny sprawozdawca. Stanowisko szlachty za czasów Rzeczypospolitej i stanowisko jej porozbiorowe wyłączały ją z ludu. Magnaci byli to „królewięta,“ jak ich Szajnocha nazwał, żyli dwornie, otaczali się przepychem. Po nich pozostała tradycya przyświecała jako ideał społeczeństwu szlacheckiemu, które po rozbiorach, pozbawione znaczenia i życia politycznego, oddało się próżniactwu i następstwom onego, wyrażającym się za pomocą życia eleganckiego i życia rozwiązłego, kosztem chłopa. Prawda wyznać nakazuje, że tak było w rzeczy samej. Chłop cały ponosił ciężar, a szlachta używała, i chociaż nie wszystka grzeszyła jednakowo, chociaż znaczna większość onej, której pan M. nie widział, bo widzieć nie chce, odznaczała się obyczajnością przykładną, to jednakże mniejszość nieoględnych tak była znaczną, że zarzut dotyka ogółu, za to, że ten nie umiał swawoli poskromić. Pan M. atoli, nie zadowalniając się przedstawieniem stanu rzeczy, podaje przyczyny onego i wykazuje takowych dwie, mianowicie: tradycyę i nikłość moralnych i publicznych ideałów. Na tym punkcie podyskutujemy z nim. Nie będziemy bronili tradycyi, ani też wytykali ideałów, których szlachcice nie szukali w „czynach“ klasy piątej, czwartej, trzeciej — czego im za złe brać nie można — a postawimy zapytanie następujące: czy próżniactwo w takich rozmiarach byłoby się mogło śród szlachty rozwinąć, gdyby nie rozbiory? Rozbiory wykoleiły ją. To co było po za nią,

zapadło się; przed nią nie stanęło nic; pod nią znalazło się nagle *kriepostnoje prawo*, które szlachcica każdego zrobiło panem dusz w ilości większej lub mniejszej. Wzniósł się, niby piramida, na piedestalu dusz, a nic mu nie powiadało, że ma obowiązki jakieś. Ciężary państwowe ponosiły stany opodatkowane, on — żadnych. Jedyna rzecz, co mu pozostawała, było używanie — używanie niczem nie krępowane i niczem nieograniczone, z wyjątkiem tego chyba tylko, że prawo miecza, ścieśnione okolicznościami i względami rozmaitemi, jakie mu w odniesieniu do poddanych nadawała Rzeczpospolita, zmieniło się na prawo batoga pod moskiewskiem panowaniem. Skrępowanym był w tem tylko, że na straży porządku państwowego, jako podpora tronu, stał nie z mieczem, ale z batogiem. Zresztą zupełną miał swobodę w używaniu życia — i używał też. Oto, zkąd próżniactwo poszło!

Epoka rozbiorów w jakim Polskę zastała stanie? Na porządku dziennym stała poprawa Rzeczypospolitej, poprawa rozpoczęta i zmierzająca ku spożytkowaniu, na rzecz dobra ogólnego, wszystkich sił społecznych. Nie mogła być ona doskonałą od razu, lecz mogła być doskonaloną, a punkt wyjścia, jak na czasy owe, wcale miała dobry. Wytykała ona szlachcie punkt dojścia wcale nie ten, na którym ją rząd moskiewski postawił i zostawił.

Któż więc ją rozpróżniaczył — nie rząd?

Oddajmy *suum cuique*: nie chwalimy szlachty, ale też nie możemy, jak czyni pan M., milczeniem pokrywać przyczyn, które ją pod względem moralnym doprowadziły do stanu prawdziwie opłakanego. Opływała w dostatkach i próżnowała, próżnowała na zabój. Mieszkała po wsiach, gospodarowała za pośrednictwem rządców i ekonomów, sprawiała imieniny, chrzciny, wesela, polowała, jarmarkowała, grała w karty, romansowała, rozkoszowała i nadymała się.

Czy nie bywało w łonie jej zwrotów ku poprawie obyczajów? Bywały — cóż jednak! szły, w policyjnych uwagach, na karb *złoumyszlennosti*, brzemiennej zsyłką, sołdatami lub Sybirem. Policya ziemska miała sobie poruczone szczególne zwracanie uwagi na to, jak się *pamieszczik* z *kriepostnymi* obchodzi — i miał się ten z pyszna, co traktował chłopów po ludzku. Młody pewien szlachcic na Wołyniu, p. G., w 1847 r., nadał był włościanom swoim wolność i własność i to sprawił, że zjechało na grunt *wriemiennoje otdielenie* i przywróciło pańszczyznę, przy czem kilkunastu chłopów dostało pałek po sto i po dwieście, szlachcic zaś w ten tylko od Syberyi wykręcił się sposób, że go ojciec jako waryata okupił.

Możnaż było w tych warunkach iść drogą inną?

W r. 1846 uniwersytet kijowski oddanym został pod opiekę Bibikowa, który urzędowanie to swoje zainaugurował w ten sposób, że kazał w pełnej paradnej formie wystąpić studentom i miał do nich przemowę, a w tej, wytknąwszy im ich cele służbowe i obowiązki względem monarchy, nie omieszkał powiedzieć, że błędów młodości, mianowicie zaś włóczenia się za dziewczętami, nie uważa za występki. *I ja wołoczilsia kak był mołod.* Tenże sam Bibików inspektora studentów, pułkownika od gwardyi, Syczugowa, który nosa nie posiadał, wydalił ze służby za to, że tem mu, jako wiadomość radośną, zaraportował, że studenci zaprzestali grać w karty, pić, włóczyć się i... zajmują się nauką.

Możnaż było — powtarzamy — w warunkach takich iść drogą inną, aniżeli tą, na jakiej p. Michalczuk szlachtę polską tropił?

Co ją od ostatecznej na tej drodze zatraty ratowało, co ją moralnie na nogach trzymało, to ideał Polski — to tradycye takie jak Kościuszkowska — to szeptanym z ust do ust przechodzące sposobem opowiadania o procesach politycznych, o męczennikach sprawy narodowej. To ją od upadku ostatecznego broniło w obec „hordy" wyrzutków społeczeństwa, nasłanych na to, ażeby ją doglądali, sądzili, prowadzili i za przykład jej służyli. Ten ideał, ta tradycya, te szeptania to nawet sprawiały, że mimo dozór policyjny, ten i ów usiłował stanąć względem poddanych swoich na stopie zaufania wzajemnego i dokazywał tego. Piszącego krytykę niniejszą ojciec zasłoniętym został, w r. 1831, od Sybiru przez chłopów. Gdy rota piechoty przyszła po Brzozowskiego (nieboszczyka), to na ratunek jego pospieszyli z toku chłopi z cepami. W ogóle chłop pana uważał za „swego," Moskala za obcego; mniemanie to przeszło z przeszłości i pójdzie w przyszłość — o to obawy nie ma, mimo przeistoczenia, jakie nastąpiło w stosunkach społecznych.

Na kobiety pan M. nie łaskawszy w rozdziale o obyczajach i zwyczajach, jak w poprzednim. Ta, jak ją z przekąsem nazywa, „kapłanka domowego ogniska," jest to po prostu zalotnica, umiejąca znakomicie pozować; w odniesieniu do chłopa większa jeszcze aniżeli mężczyzna tyranka; w odniesieniu do idei postępu nieprzystępna. Przedstawia ją wedle belletrystyki polskiej, w której nie znajduje bohaterek takich jak Turgieniewa Helena, Liza i Natasza, i którą pomawia o potakiwanie zepsuciu szlachty. Z zarzutem tym, belletrystyce w oblicze ciśniętym, wyznamy, nie spodziewaliśmy się spotkać. W najskrajniejszych szeregach arystokracyi polskiej stojący, Zygmunt Krasiński, głosi zlanie się szlachty z ludem. „Jeden tylko, jeden cud, z polską szlachtą polski lud." Ten zastrzega się przeciwko demagogii, którą Słowacki naprzód wysuwa, nakazując szlachcie pozbyć się „złotych pasów i czerwonych kontuszów," zrzucić „płachty ohydne" i wytykając jej wady wszystkie wręcz, bez obwijania takowych w bawełnę. Za ich przewództwem powieściopisarze, jedni, wad nie pochwalają, drudzy, pod pręgierz je stawiają. Moglibyśmy wykazać autorów, chłoszczących społeczność szlachecką na Rusi silniej, aniżeli pan Michalczuk, i nawoływujących ją do pracy i porządku. Sam Korzeniowski, w wyższym stopniu Kraszewski, mianowicie zaś Jeż nie potakiwali bynajmniej zepsuciu, nie szczędzili krytyki i satyry — satyry, której nieobecność sprawozdawca w literaturze polskiej zaznacza, zapominając o Krasickim i Naruszewiczu i o tem, że satyra pojawiła się wraz z odrodzeniem literatury w połowie przeszłego wieku. Pod panowaniem rossyjskiem nie mogła ona występować z przyłbicą podniesioną, dla przyczyny bardzo prostej. Ile razy do pioruwania się zabierała, „to — jak powiada Słowacki—chmura piorun zawieszała w cenzurze." Jak gubernatorowie, sprawnicy i stanowi prystawi przestrzegali tego, ażeby się szlachcic z chłopem nie bratał, tak cenzura czuwała nad literaturą.

Wracając do kobiet, zauważyć należy, że był czas, w którym dzięki urzędowej opiece nad ładem i oświatą, poziom inteligencyi niewieściej znajdował się wyżej od poziomu płci męskiej. Szlachcic polował, jarmarkował i w karty grał, kobieta czytała — karmiła się zrazu literaturą francuską, następnie, od chwili wystąpienia Kraszewskiego, i polską - karmiła się, biorąc strawę na chybił trafił i w ten sposób, jeżeli nie nabierała wiadomości pozytywnych, to przynajmniej gimnastykowała umysł i urabiała sobie pogląd na życie, na obowiązki. Ztąd poszło, że kobieta miała nad mężczyzną przewagę i zdarzało się nieraz, że matka troszczyła się bardziej o kształcenie intelektualne synów, aniżeli ojciec.

(C. d. n.)

Zygmunt Miłkowski.

Piśmiennictwo niemieckie.

Gedanken über die Socialwissenschaft der Zukunft von Paul v. Lilienfeld. Mitau. Erster Theil, 1873. Zweiter Theil, 1875.

„Rzeczpospolita, jest jakoby jedno zupełne zwierzęcia któregokolwiek ciało, którego żaden członek sam sobie nie służy, ale i oko i ręce i nogi i wszystkie inne członki, jakoby spólnie o sobie radzą, a urzędu swego tak używają, aby się wszystko ciało dobrze miało; które gdy się dobrze ma, tedyć i członkom krzywdy nie masz, a gdy się ciało niedobrze ma, tedy i członki pewnie jaki niewczas cierpieć muszą — nieinaczej, jedno gdyby którykolwiek członek od ciała był oderwan, już nie jest godzien, aby go własnem przezwiskiem zwano przeto, iż ani żywym być ani urzędu swego używać może, jeżeli do wszystkiego ciała nie będzie przyłączon; także też żaden obywatel, mimo Rzeczpospolitą, nie może dobrze żyć, ani urzędowi swemu albo powinności swej dosyć czynić *)"

Z wstępu tego widzimy, że Modrzewski jasno przedstawiał sobie organiczną łączność społeczeństwa ludzkiego. Rozumowanie jego opierało się jednak li tylko na analogii. Dopiero w ostatnich czasach z postępem nauk fizycznych i przyrodniczych pojęcie organizmu społecznego o tyle spotężniało, że zrozumiano, że organizm ten jest ogniskiem sił przyrodzonych, powszechną podwaliną wszelkiego życia stanowiących, i rządzi się powszechnemi prawami przyrody. Pojmowanie to ugruntował w naszej naukowej literaturze uczczony w zeszłym roku jubileat, p. Józef Supiński, i z tego względu słusznie mu się należy wielka zasługa, że skierował badania życia społecznego ku realnym jego podstawom."

W ostatnich czasach zwrócono znowu większą uwagę na podobieństwo pomiędzy organizmami, osobnikowym i społecznym. Herbert, Spencer, Jerzy Lewes, Wojciech Schäffle, uwydatnili wiele stron wspólnych, które dają się spostrzegać pomiędzy obu powyższymi organizmami. Lecz Paweł Lilienfeld, o dziele którego zamierzam pisać, wyznać należy, najgruntowniej uzasadnił to podobieństwo, i właśnie ten przedmiot stanowi najlepszą część jego dzieła.

Spostrzeżenie pewnych wspólnych cech pomiędzy różnymi a oddalonymi od siebie przedmiotami, stanowi to, co zwykle zowiemy *analogią*. Zewnętrzne to ujęcie cech podobnych nie przedstawia wprawdzie żadnego dowodu; lecz daje ważną wskazówkę, punkt oparcia się do dalszych poszukiwań. Pobudzona myśl bada dalej, ażali zewnętrze podobieństwo nie ukrywa przyczynowego związku obserwowanych zjawisk pomiędzy

---

*) Str. 7 i 8. O poprawie Rzeczypospolitej Andrzeja Frycza Modrzewskiego. Wydanie Turowskiego. Przemyśl 1857.

*

sobą, ich wzajemnego niejako pokrewieństwa. Wykrycie *przyczynowego związku* stawia już na gruncie mocnym i wnioskom naszym użycza naukowego oparcia. Przyczynowy zaś wniosek wykażemy, jeśli jedno zjawisko wyprowadzimy z drugiego, jeśli od jednego pojęcia przejdziemy w sposób naturalny do drugiego. Analogia wówczas stanie się homologią. Metodę porównawczą uzupełni metoda genetyczna.

Społeczeństwo jest przyrodzonym, realnym organizmem. Jest ono wyższym szczeblem, doskonalszym wytworem tych samych sił, które działają we wszechświecie. Myśli i uczucia, które przeważnie kierują światem ludzkim, ostatecznie dają się sprowadzić do ruchu mechanicznego. Bez nerwów i mózgu człowiek nie mógłby myśleć. Włókna nerwowe są drogą, którą podniety świata zewnętrznego dochodzą do świadomości ludzkiej. W nerwach czynnych ujawnia się prąd nerwowy, który czerpie swą siłę z chemicznych procesów materyi odżywczej; te zaś procesy są dalszym wynikiem sił fizycznych, które przechodzą wzajemnie jedna w drugą, a ostatecznie w ruch mechaniczny. Myśli i uczucia, tylko przeobrażone w ruch mechaniczny, mogły udzielać się od jednego do drugiego osobnika. Najdoskonalszy sposób udzielania swych myśli przedstawia *mowa*. Jakimże sposobem jednak wiąże się łańcuch pomiędzy jednym i drugim osobnikiem? Oto, wola pobudza nerwy, które wywołują skurcz mięśniowy, wskutek tego struny głosowe zbliżają się lub oddalają od siebie, naginają się rozmaicie, a strumień powietrza, wypychany z płuc, wprawia je w drgania, które swoją koleją, wzbudzają drgania powietrzne, posuwające się szybko falami dokoła. Drgania te ostatnie, doszedłszy do ucha, wpadają w muszlę uchową, przez przewód dostają się do błony bębenka, wprawiają ją w drganie, pobudzając do ruchu szereg kosteczek przyrządu słuchowego, a następstwem tego jest znowu drganie błony błędnika, które udziela się płynowi w nim zawartemu, a drgania tego płynu działają bezpośrednio na znajdujące się w nim końce nerwu słuchowego, przez który wreszcie wrażenia dźwięku dochodzą do mózgu. Jak widzimy więc, mechaniczny ruch cząsteczek powietrza niezbędny jest do tego, ażeby człowiek przez mowę mógł się porozumieć z drugim człowiekiem. Jeżeli używa do porozumienia się mimiki lub pisma, wówczas potrzebne jest drganie fal eterycznych, które szeregiem ruchów mechanicznych pobudzone przez jeden osobnik dochodzą do drugiego za pomocą oka. Fizyczna czynność zamienia się w fizyologiczną, a ta w psychiczną, i odwrotnie.

Wszelki organizm, zwierzęcy i roślinny, powstaje z komórki, która i nadal stanowi główny jego pierwiastek. W organizmie zwierzęcym, komórka jajowa powoli rozpada się na pewną liczbę komórek, które połączone z sobą przedstawiają sieć komórek, czyli tkankę komórkową. Badając tę tkankę, widzimy w niej komórki i substancyę, zawartą w tych ostatnich i w przetworach międzykomórkowych. Przy ściślejszem porównaniu tkanki organicznej, która na niższych stopniach rozwoju sama tylko wypełnia cały organizm, z pierwotnemi społeczeństwami, analogia składowych ich części dość wyraźnie uwydatnia się. Komórkami są rodziny, substancyą komórkową i międzykomórkową, mienie rodzinne i publiczne. Podobieństwo to, wynikające z jednakowości praw rozwoju, znajdujących się w przyczynowym między sobą związku, najdokładniej i najszczegółowiej uzasadnił Albert Schäffle. Różnica w zapatrywaniu się jego i Lilienfelda jest ta, że ten ostatni uważa każdy osobnik za komórkę społeczną. Lecz komórka, stanowiąca pierwotny żywioł organizmu społecznego, powinna zawierać w sobie wszystkie warunki samoistnego dalszego rozmnażania się, co posiada rodzina, lecz czego nie przedstawia osobnik, na wyższych stopniach rozwoju. Nadto rodzina jest dalszym rozwojem całości osobnikowej, o czem nas przekonywa stopniowanie, jakie widzimy w łańcuchu doskonalących się tworów, od istoty bezpłciowej do dwupłciowej i następnie różnopłciowej. Osobnikowa rodzajna całość, rozszczepiła się na wyższych stopniach na dwie połowy, wzajemnie się uzupełniające i z połączenia się z sobą tworzące na dalszych stopniach nową całość: jednostkę już społeczną, rodzinę.

Tkanka komórkowa w wyższych organizmach ulega coraz większemu różniczkowaniu. To samo się dzieje i z tkanką społeczną. Schäffle w organizmie społecznym dopatrzył istnienia wszystkich składowych części organizmu zwierzęcego, lecz wyobraźnia zanadto w nim wzięła przewagę nad trzeźwą powściągliwością rozumu. Lilienfeld mniema, że organizm społeczny przedstawia właściwie tylko jednę nerwową tkankę; inne zaś, jak kostna, mięśniowa i t. d. wcale nie mogły rozwinąć się. Lecz, przyjmując substancyą międzykomórkową i uznając jej ważne znaczenie w organizmie społecznym, niepodobna nie widzieć, iż istnieją w nim składowe części, które same z siebie żadnej czynności, podobnej do nerwowego przewodnictwa, nie przedstawiają. Z tego powodu wypada przyznać większą względną słuszność Schäfflemu, aniżeli Lilienfeldowi; lubo kwestya podobieństwa w różniczkowaniu się tkanki zwierzęcej i społecznej wymaga jeszcze ściślejszych i głębszych badań, a nadto ostrzejszej analizy zjawisk socyologicznych.

Im organizmy wyższe, tem substancya międzykomórkowa nabiera większego znaczenia, tem rozmaitsze przybiera kształty. W roślinach jest niejako tylko kitem, spajającym komórki; w zwierzęcym organizmie tak się uwydatnia i wzrasta, że powstała nawet była wątpliwość, azali właśnie to ona nie odgrywa głównej roli. W pierwszych przejawach organizacyi społecznej napotykamy już zawiązki mienia. Czemże bowiem są plastry, budowane przez pszczoły, ich mieszkania w dziuplach drzew, okitowane starannie żywicą; mrowiska z ich galeryami, przegródkami, chodnikami; gniazda ptasie, tworzące rodzaj falansteru u republikanów, lub w pewnym względzie murowane miasta jak u pingwinów; budowy nadwodne bobrów z ich składami? W społeczeństwach ludzkich mienie, ta międzykomórkowa substancya, staje się główną podstawą rozwoju ich cywilizacyi i budzi podziwienie rozmaitością, pomysłowością i sztucznością form swoich.

Czynność wszelkiego zwierzęcego organizmu przedstawia system połączonych z sobą odruchów nerwowych; czynność społeczna zjawia się jako system odruchów, zachodzących pomiędzy ludźmi lub pewnemi ich grupami. Czem w ustroju zwierzęcym są ośrodki nerwowe, jednoczące jego działania i wytwarzające pewną świadomość, tem są rządy w społeczeństwach. Przyczynowy związek pomiędzy czynnością nerwową organizmu zwierzęcego i czynnością społeczną uwydatnia się i w tym ważnym fakcie, że organa nerwowe w miarę rozwoju stosunków społecznych doskonalą się i osiągają wyższy stopień organizacyi.

TEATR.

(Artykuł 264ty, komedya konkursowa w 5 aktach.)

Jak szczęśliwym jest pomysł procedury konkursu imienia Fredry, o tem już nieraz pisano w „Tygodniu,“ i szczegóły konkursu są zapewne dobrze znane naszym czytelnikom. Tu więc tylko chcę scharakteryzować główne jego znaczenie: oto spór o pierwszeństwo pomiędzy sztukami nadesłanemi na konkurs, dotychczas rozstrzygany w jednej tylko instancyi, której wyroki bardzo często nie zadawalniały opinii publicznej, przechodzić będzie teraz aż przez trzy instancye, z których każda reprezentuje inną sferę i może być zatem wszechstronnie i wyczerpująco zbadanym. Wybór komisyi artystyczno - dziennikarskiej, odsiewającej ziarno od plewy, poddany ma być raz jeszcze pod młynek tysiąca ócz i tysiąca rąk publiczności zgromadzonej w teatrze, i dopiero z tak przesianego ziarna ma trzecia instancya, ostateczna komisya, wybrać najdorodniejsze i najzdrowsze ziarno.

Publiczność zatem występuje tu w roli jednej z instancyi. Głos jej ma. bezwątpienia, wielką wagę, bo niech tam sobie sztuka odpowiada jak najściślej wszelkim przepisom teoryi, jeżeli tylko znudzi publiczność, zamiast zająć, ożywić i natchnąć, to już rozminęła się ze swoim celem; jednakże głos ten nie może być rozstrzygającym, są na to ważne przyczyny. Naprzód publiczność lwowska, — niech to w niczem nie narusza naszego dla niej uszanowania. — nie jest ateńską z dobrych czasów ateńskich, nie ma tak wyrobionego smaku, żeby każdej drobnej usterki dostrzedz mogła, ba, co więcej, żeby mogła dostrzedz i grubszych usterek, całych nawet błędów, jeżeli te zamalowane są pięknymi kolorami, zakryte efektownemi scenami. Publiczność przytem ma jeden tylko wyraz dla wszelkich rodzajów zadowolenia, mianowicie oklask. Oklask dla artystycznych zalet sztuki, oklask dla tendencyi, oklask dla gry artystów. Często jakaś piękna sentencya, mająca szczególne zastosowanie do chwili, wywoła grzmiący oklask, a przecież najpiękniejsza sentencya w sztuce jest tylko tem, czem jakiś napis na wielkiej budowli. Napis może być bardzo piękny, architektura gmachu bardzo koszlawą. Nareszcie publiczność nie jest jednorodną masą; to co w niej najwięcej ma estetycznego wyrobienia, to zwykle jest najmniej skłonne do głośnego objawiania uczuć.

Te uwagi nasunęły mi się do głowy z powodu pierwszej konkursowej komedyi, poleconej przez komisyę artystyczno - dziennikarską do grania, a wprowadzonej w ubiegły poniedziałek przed trybunał publiczności. Jest to „Artykuł 264.“ Komisya, polecając sztukę do grania, nic innego nie chciała przez to wyrazić, jak tylko że sztuka ma pewne zalety, które jej dają prawo do wejścia na scenę. Publiczność dobrze przyjęła sztukę, więc zatwierdziła powyższy sąd komisyi. Ale czy z tego dobrego przyjęcia można jakieś dalsze wnioski wyprowadzać na korzyść sztuki. Czy jednem słowem publiczność, bijąc oklaski, zdawała sobie sprawę i z błędów sztuki i pomimo to, przyjęła ją tak dobrze? Zdaje mi się, że tak nie było, i że chwilowy oblask publiczności nie zdoła wytrzymać próby czasu. Tak, czas, to czwarta i najwyższa instancya do której się wszyscy i zawsze spokojnie odwoływać możemy.

Joanna Skalska nie żyje z mężem, ponieważ przekonała się, że mąż utrzymuje po za domem stosunki, naruszające wiarę małżeńską. Wniosła prośbę o rozwód i sprawa rozwodowa jest w toku. Tymczasem zaleca się do niej pan Rolski, przystojny, salonowy, w miarę dowcipny, więcej niż w miarę intrygant. Trudno coś o nim więcej powiedzieć. Czy kocha on Joannę? Zdaje się, że nie, że widzi w niej tylko ładną i bogatą kobietę, którąby chciał mieć za żonę. Skalska zbywa go żartami; raz sparzyła się na małżeństwie, drugi raz nie chce próbować tego szczęścia. Rolski poprzestaje na roli przyjaciela, nie zrzekając się jednak nadziei pozyskania kiedyś ręki Joanny. Do tej ostatniej zjeżdża się rodzina, po części wezwana, po części nie wzywana: Kamila, młoda wdowa, emancypantka, typ częściej spotykany w naszych komedyach, jak w naszem życiu; ciocia Koksz, nabożna, ograniczona i kłótliwa Litwinka z córką Izią, stereotypowym podlotkiem, wreszcie wujaszek rejent z Rypina, najbardziej wyrazista może z całej komedyi, choć także nie zupełnie świeża postać. Zjazd nagły, w cichem dotąd mieszkaniu Joanny powstaje zamię-

szanie, kłótnia. Ciocia Kokszowa i rejent, oddawna w procesie z sobą, wymyślają sobie w najlepsze; emancypantka zarzuca salon Joanny swojemi robotami różnego rodzaju. Nieład, hałas. Joanna szukająca opieki i rady u rodziny, w zbliżeniu z nią naraża się na same przykrości. Rolski cieszy się, gdy wtem zjawia się mąż.

Co to za człowiek? Do końca drugiego aktu nikt nie przypuszcza, żeby on mógł być główną osobą sztuki, główną sprężyną akcyi, a jednak tak jest w istocie. Pierwsza scena jego z żoną przedstawia nam go w świetle wcale niepochlebnem, a co gorzej, że opinia jaką o nim widz wyniósł z tej pierwszej sceny, bardzo mało a raczej wcale nie się nie modyfikuje do samego końca sztuki. Tymczasem jest to postać dodatnia, jest to ten, ku któremu nasze sympatye mają być obrócone, w osobie którego sens moralny obchodzi swój tryumf.

Pan Skalski tłumaczy się przed żoną, że wprawdzie i przed małżeństwem „szumiał“ i to jak się zdaje dość długo, nie tyle jednak, ażeby się zupełnie „wyszumiał“, że zatem i po ślubie jeszcze musiał jakiś czas szumieć, ale przyszła nareszcie chwila, w której przypomniał sobie, że ma żonę, zatęsknił do domowego ogniska, no... i chciałby wrócić do domu. Jest teraz zupełnie inny, poprawiony... trzeba mu wierzyć na słowo. Przyrównywa się przytem do szczygiełka, czy innego ptaszka, który wyleciał z klatki na swobodę, używał jej przyjemnie, ale w końcu słotą czy zimnem przyciśnięty zapragnął powrócić do klatki. Oburzenie, z jakiem Joanna przyjmuje te słowa, widz podziela najzupełniej i p. Skalski jako szczygiełek tak samo się nędznym i śmiesznym wydaje publiczności, jak żonie.

Żona żegna go na zawsze, ale Skalski nie daje za wygraną. Obmyśla on plan zdobycia czy odzyskania serca żony i rozpoczyna formalne roboty oblężnicze. Sam autor wypowiada przez usta Skalskiego, że plan ten jest „nieco skomplikowany“, a my dodamy, że jest on tak skomplikowany, iż staje się niezrozumiałym, a w najlepszym razie nieprawdopodobnym. Żona mu powiedziała, iż go ani kocha, ani nienawidzi, że jest on dla niej teraz zupełnie obojętnym. Otóż Skalski jakimkolwiek sposobem, a raczej wszystkimi sposobami chce wyrwać żonę z tej obojętności dla siebie, gotów wywołać w niej nawet nienawiść ku sobie, a żeby potem drogą reakcyi mogła wejść na jej miejsce miłość. Jakichże używa środków do tego celu? Oto zaczyna nadskakiwać Kamilli, aby obudzić zazdrość w Joannie i w tym celu także przekupuje ciocię Koksz, co zdaje się być zbytecznym wydatkiem. Obudzenie zazdrości jest środkiem dobrym, tj. prostym i naturalnym, ale p. Skalski nie poprzestaje na tem. Przekupuje on także wujaszka rejenta, żądając od niego tylko tyle, żeby wytłumaczył Joannie, na czem polega treść artykułu 264 kodeksu cywilnego. Artykuł ten opiewa, że osoba, dająca powód do rozwodu, uważać się ma w stosunku do małżeństwa za nieżyjącą. Trzeba wiedzieć, że Skalscy, biorąc ślub zawarli byli z sobą układ majątkowy, zwany zapisem na przeżycie. Ponieważ Skalski dał powód do rozwodu, ponieważ on zatem przestał lub przestanie być osobą żyjącą, więc majątek jego w razie rozwodu przejdzie na dożywotnią własność Joanny. Joanna, dowiedziawszy się o treści artykułu 264 jest pewną, że chęć jej męża pogodzenia się z nią, wypływała tylko z obawy utraty majątku. Dotychczas przynajmniej miała go za bezinteresownego pod względem pieniężnym teraz ta zaleta odpada, Joanna gardzi Skalskim. On właśnie chce tego, wierząc w siłę reakcyi, która potem ma nastąpić.

Ale na tem nie koniec planu, Skalski wciąga do niego Izię i tu już plan zaprawdę staje się więcej, niż „nieco skomplikowanym.“ Izia pod wpływami emancypantki Kamilli, sama zaczyna się emancypować. Skalski podstawiwszy jakiegoś figuranta, pisuje liściki do Izi, obiecuje ją wykraść, naznacza godzinę i miejsce. Izia jedzie na dworzec, zostawiając list pożegnalny do rodziny, rodzina list ten znajduje, ciocia Koksz, Kamilla i Rolski jadą na dworzec ocalić Izię. Joanna zostaje sama, i wówczas zjawia się Skalski, który wszystko przewidział i cały ten plan mądry ułożył głównie dla tego, ażeby się sam na sam rozmówić z żoną.

Joanna, naprzód oburzona, przekonywa się niebawem, że posądzenie jej było fałszywe. Konsystorz nie zatwierdził rozwodu, więc nie interes pieniężny skłaniał jej męża do zgody. Powoli rozczula się, podaje mężowi rękę do zgody, a zniechęcona uciążliwem towarzystwem rodziny, przystaje na ostatni punkt planu mężowskiego, aby natychmiast odjechać z nim na wieś. Skalski wszystko przewidział i przygotował, więc powóz gotów, odzywa się trąbka pocztarska, Skalscy siadają i odjeżdżają, i rodzina z Izią, której nikt nie wykradł, powróciwszy z dworca, zastaje tylko list z uwiadomieniem o odjeździe Skalskich.

Taką jest treść sztuki, a gdybyśmy z niej chcieli koniecznie wycisnąć jakiś sens moralny, jakąś myśl przewodnią, to po wyciśnięciu, znaleźlibyśmy chyba to tylko, że młode żony nie powinny się bardzo gniewać na mężów, jeżeli ci nie dość wyszumiawszy się za kawalerstwa, przeciągną jeszcze trochę epokę „szumienia“ po za graniczny słup przysięgi małżeńskiej. Sens niezbyt budujący, intryga, jak widzieliśmy, zbyt naciągana, z dwóch głównych postaci, jakiemi są Skalscy, on nie jest dość sympatycznym, bo cały plan jego w najlepszym razie może dowodzić przebiegłości, ale nie jest expiacyą, — ona nie jest dość konsekwentną, bo to nagłe przebudzenie się w niej miłości dla męża nie było w pierwszych aktach poprzedzone żadnemi oznakami uczucia, które, choćby się na samo dno serca osunęło, zdradzićby się czasem musiało. Jakież więc są zalety sztuki?

Zalety zawierają się w ożywionym, czasem dowcipnym dyalogu, w rysunku drugo i trzeciorzędnych postaci, niezbyt coprawda świeżych, a co gorzej nic dodatniego w sobie nie mających, ale nakreślonych wyraziście i wprawną ręką, nareszcie w ciągłem utrzymywaniu ruchu na scenie. Te to zalety dały sztuce przywilej ukazania się na scenie, i zjednały jej dobre przyjęcie. Ale czy na takich filarach, długo się może utrzymać powodzenie sztuki? Kładę znak pytania i sprawę odsyłam do czwartej instancyi.

Sztukę w ogóle odegrano dobrze. Pani Parżnicka była sympatyczną Joanną i w ostatniej scenie z mężem huczne zbierała oklaski. Pan Ładnowski jako Skalski, wydobył wszystko, co można było, ze swej roli. Najwięcej bawiły widzów postacie rejenta (p. Zamojski) i cioci Kokszowej (pani German).

Przynajmniej zanotować wypada mi kilka innych nowości, przedstawionych ostatnimi dniami na naszej scenie. Należy tu naprzód jednoaktowy dramat Sewera p. t. „Dwie“, osnuty na tle niedawnej przeszłości włoskiej, pełnej spisków i sztyletów, dramat, który gdyby był przełożony na włoskie i przedstawiony we Włoszech, bezwątpienia bardzoby się Włochom podobał, w ich bowiem smaku jest napisany. Dalej należy wspomnieć o komedyjce Edwarda Pailleron „Inny zamiar,“ salonowym kwiatku pełnym elegancyi i nakoniec o niefortunnej „Kuglarce“ Meilhaca i Halévy, która zresztą bardzo „fortunną“ okazała się dla kasy teatralnej bo ściągnęła do teatru oddawna tam niewidziane tłumy publiczności. *J. T.*

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 7. marca.

I kronikarz dziennikarski znajduje się często w położeniu tego niewprawnego do towarzyskich rozmów salonowca, który usiadłszy na brzeżku krzesła, i wyprawiając młynka swym kapeluszem, po wielu odchrząknięciach zaczyna od pogody... Rzeczywiście łaskawi czytelnicy, mamy od dwóch dni prawdziwą wiosnę we Lwowie połączoną z wystawą pięknych twarzyczek kobiecych. Pół miasta z pewnością wyległo na ulicę tak, że zdawało się, widzimy ciągle resztki jakiejś procesyi, której główne centrum schowało się w katedrze.. Inne twarze, inny wyraz na nich, coś niezwykle ożywionego, zwiastuje nowe życie, nowe nadzieje. Powiedziałem o wystawie pięknych twarzy, i nie zapieram się tego, przyznając, że Lwów posiada ich więcej, niż inne miasta, ma się rozumieć z wyjątkiem Krakowa, który gotówby mi za to proces o oszczerstwo wytoczyć. I Kraków ma taką samą liczbę pięknych kobiet, ma... przyznaję... Z długoletnich obserwacyi moich, przekonałem się, że wszystkie kobiety najlepiej wyglądają na wiosnę; twarzyczki ich białe, nie opalone, szczególniej pociągają widza, a wypoczęte oczy podczas zimowego w czterech ścianach spoczynku, śmielej na wiosnę puszczają się na ekskursye... Panowie mężczyźni trzymajcie się ostro, bo jeżeli kiedy, to w tym czasie najwięcej was pada pod razami tych słodko-gromkich piorunów.

Przykładnie i z pokorą posypaliśmy głowy nasze popiołem na znak pokuty za grzechy karnawałowe, a Towarzystwo kredytowe miejskie poszło jeszcze dalej, pozwoliwszy zaśpiewać nad sobą *Requiescat*, choć podług anonsów miało piętnaście tysięcy członków gotowych krew i mienie oddać za niego. I dziwić się tu teraz, że upadła Turcya, kiedy mało co miała więcej swej armii a żadnej od nikogo poręki?... I dziwić się tu potem, że Lwów, stolica Galicyi, mająca sto tysięcy mieszkańców, coś sześć tysięcy wyborców i nie może sobie dobrać kandydata na posła do Rady państwa? Po rezygnacyi p. Smolki już był brak dokuczliwy, i gdyby się był nie zjawił p. Wolski z Wiednia bylibyśmy w kłopocie. A cóż dopiero mówić o następcy p. Czerkawskiego? Co kogo z-prosi komitet — żaden nie chce. I pan Dobrzański nie chce i pan Groman nie chce, i dr. Opolski nie chce, i pan Smolka nie chce.. Zostaje tylko pan Rewakowicz, który wprawdzie zawsze chce zabawiać wyborców dowcipną i wesołą gawędką, ale... trudno płynąć przeciw wodzie. Został więc na placu, i to nawet nie na placu, ale w domu, chory na migrenę hr. Gołuchowski, którego komitet wśród tego wyborczego bezrybia postanowił popierać. Tymczasem w łonie ściślejszego komitetu poczęła się szerzyć dezercya i w powietrzu czuć coś, coś co zamyśla wypłatać figla Radzie państwa. Słyszeliśmy, że przeciwnicy stereotypowego od lat wielu komitetu wyborczego, sprowadzają z daleka Minerwę, z której mózgu wyskoczy nowy Jowisz z piorunami dla pogruchotania, jeżeli nie całej Rady państwa to przynajmniej koła polskiego... Ale to tajemnica... musimy milczeć do czasu... Jednakże, gdyby nam się czego Boże uchowaj, i ten ostatni manewr nie udał, jest postanowionem że zapiszemy sobie z Berlina Lebknechta. Ten człowiek, to mi jest prawdziwy patryota polski. Jeżeli on wobec Bismarka tak śmiał rozpuścić wodze swemu językowi, to coby dopiero zrobił w Wiedniu przy Dr. Andrassym.. Roztrząsłby Austryę, alboby całą Europę zrobił Austro-Polską. Dziwimy się niepomiernie, że komitet ściśniony, nie postąpi sobie tak jak dyrekcya teatrów lwowskich i nie podda próbie kandydatów na posła. Wprawdzie do tego trzeba nowelli do ustawy wyborczej, ale o cóż w Austryi łatwiej, jak nie o te nowelle? Puszczalibyśmy sobie na próbę konkursowych kandydatów jak *Artykuł 264*, zapraszalibyśmy widzów na sędziów, chwalilibyśmy... i byłoby w czem wybrać. Komitet konkursowy dramatyczny już podobno nie ma miejsca w bibliotece teatralnej na chowanie sztuk nadsyłanych! I narzekają ludzie, że literatura nasza ubogą jest w autorów dramatycznych! Jeden tylko mamy żal do tych opieczętowanych autorów, że prawie powszechnie biorą za przedmiot do swych komedyi, nieszczęśliwych mężów, jakby już innych indywiduów nie było na świecie. Czytamy w tytułach, mąż taki, mąż taki... Moi panowie dajcie pokój tym nieszczęśliwym

istotom zwanym mężami. Czyż oni mało dźwigają domowych krzyżów, żeby ich jeszcze wyprowadzać na śmiech panieński i staro kawalerski. Ot, weźcie się lepiej do tych ostatnich, którzy tym sposobem tryumfują, że się nie ożenili, i zły przykład dają młodszym aspirantom...

Donoszę czytelnikom, że ojciec święty Leon XIII ledwie się ukoronował w kaplicy syxtyńskiej, już będzie musiał wziąć się do sądzenia Polaków. Kraków, Lwów i Poznań jadą do Rzymu, każde ze swoim adresem, a raczej skargą o przywłaszczenie sobie patronatu polskiego. „Narodówka“ krzyczy na „Czas„, że podstępnie napisał Kraków swój adres mało patryotyczny. „Czas“ powiada znowu, że jego musi być lepszy, skoro nawet niektórzy członkowie komitetu adresowego lwowskiego zgłosili się do podpisania krakowskiego adresu. „Kuryer Poznański“ niezmiernie jest oburzony na uzurpacyę pewnego kółka w Poznańskiem, które bez niego pozwoliło sobie przywłaszczyć dyrektywę w ułożeniu adresu. Ciekawi jesteśmy, jak uda się ojcu świętemu pogodzić te wszystkie żywioły, pragnące być na wierzchu tam, gdzie ich miejsce powinno być u podnóżka. Gdyby to trafiło naprzykład na ojca gwardyana od Bernardynów, to jestem przekonany wobec tej serdecznej narodowej zgody, pasek z ogórkami byłby w robocie... A jednak Leon XIII może doznać kłopotu, bo Lwów i Kraków mają swoje zasługi, które uwzględnić wypada: Lwów urządził wprzód krajowe nabożeństwo za duszę zmarłego papieża, Kraków za to illuminował się na koronacyę obecnego. Już to widocznem jest, że ta illuminacya krakowska wywarła zły humor na Lwowian... dali się wyprzedzić... kupcy mający na składzie Apollo-Kerzen piorunują!...

Nareszcie mamy już pokój i Turcya razem z Towarzystwem kredytowem miejskim, razem z fabryką kapeluszy p. Fiali pochowaną została. A stara to była firma tej Turcyi, choć nie bardzo rzetelna w wypłacie. Zdaje się, teraz powinna umieścić inserat w „Gazecie Narodowej,“ że swoich weksli więcej płacić nie będzie, jak to zrobiła jedna osoba, której się zdawało, że publiczność przyjmie tę wiadomość jako niespodziankę. Mój Boże kochany, ileż to nas takich jest we Lwowie, co nie płacimy oddawna weksli, a jednak nie mamy tej pretensyi, aby świat o tem wiedział?... Co to znaczy chęć sławy! Przy opieczętowaniu tedy manatków tureckich, jak to często bywa, gdzie jest dużo wierzycieli a mało masy, (nie mówię tego do tych, co byli członkami nieograniczonej poręki), trafiło się, jak oświadczył Bourke w parlamencie angielskim, że generał Ignatiew jakkolwiek użył wobec angielskiego dragomana, nie bardzo *grzecznych i przyjaznych* wyrażeń, ale nie ma powodu do przypuszczania, aby wskutek tego życie dragomana było zagrożone... Otóż zdaje nam się, że te wyrażenia nie bardzo grzeczne i przyjazne, musiały być w kształcie nahajki kozackiej... ale jesteśmy spokojni, handlarze z nad Tamizy i takie niegrzeczności strawić potrafią, choć dawniej gotowi byli zbombardować całą Grecyę za jakiegoś poczciwego żyda bankiera... Czasy się zmieniają, proroctwo Napoleona I. się zbliża, nahajka już gospodaruje w połowie Europy, dostanie się ona i drugim...

Zbliża się chwila, że niedługo znikną niegrzeczne dzieci z ziem polskich. Redakcya „Bluszczu“ w Warszawie ogłosiła konkurs za napisanie dzieła „o wychowaniu macierzyńskiem,“ tak jak Biblioteka warszawska o wzorze porządnego człowieka. Jakież to obszerne pole do działania otwiera się dla kobiet piszących. Dwanaście punktów o środkach działania macierzyńskiego obejmuje program dzieła przeznaczonego do konkursu, i spodziewamy się, że kobiety nie pozwolą się do tego przedmiotu mięszać autorom mężczyznom, którzy nie mają wyobrażenia ani o kołysce, ani o noskach swych dzieci. Mężczyzni znają tylko klapsy, różczki brzozowe i tym podobne instrumenta przestarzałej edukacyi. Są oni tyranami tych miłych bębnów, smarujących masłem ich ubranie; a potem gdy dojdą piątej klasy, skazują ich na nędzę i wstyd między kolegami z powodu swojego skąpstwa... Czas więc, aby szanowne mamy wzięły w opiekę nieszczęśliwych pieszczochów i napisały szczegółowy kodeks wychowania, któryby głos publiczny akceptował... Przyznajemy dobre chęci wydawcy „Bluszczu,“ który za traktat taki gotów jest zapłacić nagrody 200 rubli, lecz zdaje nam się, że postawił tak wielki, i dotąd przez najznakomitsze głowy niewyczerpany przedmiot do rozprawy, że podobno dobre jego chęci pozostaną chęciami i nowy kodeks, jeżeli się pokaże, wyjdzie na dziwoląga...

Bale i wszelkie uciechy tańczące skończyły swój żywot, rzeźnicy lwowscy musieli nietęgi zrobić interes w mięsopuście, jeżeli nie wydają bali, beczki ze śledziami wtaczają się do sklepów, gorżkie żale przychodzą na stół nabożnych, bociany wracają z zagranicy, a nasze galicyjskie bociany uczą się na gwałt po francusku, aby odlecieć w maju na wystawę paryską.

* * *

Towarzystwo wzajemnej pomocy oficyalistów należy do tych kilku instytucyi, co założone przed dziesięciu laty, nie upadły wraz z mnóstwem innych efemerycznych stowarzyszeń, ale przeciwnie rozrosły się i śmiało dziś mogą spoglądać w przyszłość. Z mowy prezesa Rady nadzorczej, hr. Stefana Zamojskiego, mianej na posiedzeniu Rady 2 marca, na szczególne uznanie zasługują te słowa: „W czasach tak ciężkich, jak dzisiejsze, starajcie się panowie utrzymać w rękach polskich tę ziemię naszą, na którą tyle wrogów czyha, a dopełnianie ścisłe waszych obowiązków stanie się czynem patryotycznym względem ojczyzny“. Piękne słowa, sądzimy tylko, że powinny być adresowane przedewszystkiem do właścicieli ziemskich; od ich to bowiem ładu i oszczędności zależy utrzymanie ziemi polskiej w polskiem ręku.

* * *

Dowiadujemy się, że lekarze polscy za inicyatywą Towarzystwa lekarskiego we Lwowie postanowili wystosować memoryał do lekarzy niemieckich, francuskich, angielskich, włoskich i amerykańskich przedstawiający okropne zbrodnie dokonane przez cara moskiewskiego i jego satrapów na lekarzach Polakach w Sofii, Filipopolu, Adryanopolu i innych miastach tureckich. Rzeczywiście memoryał taki może nie małe światło rzucić na barbarzyństwo Moskali i wskazać oświeconym ludom Europy i Ameryki jakich potworów posiadamy w Europie.

LISTY Z KRAJU.

Brzozów, 21. lutego 1878 r.

W „Tygodniu“ nr. 25 z dnia 17go lutego br. w listach Głos z kraju w sprawie oświaty ludowej wyczytałem ustępy:

a) więc któż ma być tym, co by ludowi te karmę, prawdziwą niebios rosę, na stole postawił?

b) że dążenia do oświaty ludowej na tej drodze jak dotąd, stało się niemożliwem.

c) że lud nie ufa wszystkim „czarnym“ i tych się boi, ale ufa młodzieży.

Oceniając dobre chęci autora, i trafne jego poglądy, gdy jednakże do osiągnienia tak ważnego celu różne i bardzo liczne prowadzą drogi, a każda myśl zdrowa i z dobrych chęci wypływająca na uznanie zasługiwać powinna, więc i ja chcę poddać myśl jednę, która dotąd poruszoną nie była, a tem mniej w praktyce użytą. Ośmielam się ja nieco szerzej rozwinąć.

Otóż gdy ktoś być musi, co by ludowi oświatę podawał, a powiedziano już, że drogi dotąd w tym celu praktykowane okazały się niepraktyczne i niemożliwe, bo lud nie ufa „czarnym,“ a tylko ufa młodzieży, więc do tego dodam i to, że ufa najwięcej, jeżeli nie jedynie, własnej młodzieży. Młodzież przeto własna wyszła z ludu, jest, jak z tego wynika, drogą prawdziwą, którą ludowi tę karmę, prawdziwą rosę niebios, podawać możemy i powinniśmy.

Ażeby zaś ten cel chociaż nie od razu, ale pewnie osiągnąć, powinniśmy się starać, młodzież ludu kształcić, ażeby ta, dziełka jak najlepszej, przystępnej i pojęciom odpowiedniej treści, swoim rodzicom, rodzinie i sąsiadom przeczytać i wytłumaczyć umiała i mogła. Doświadczenie uczy, że lud nasz nie czytając sam płynnie, czytaniu powolnemu, i dłuższemu wiele czasu poświęcić nie może, a znużywszy się jednostajnością głosu, treścią dla niego niezrozumiałą, albo dotąd obojętną — książkę choćby najlepszą, choćby najtańszą, jeżeliby ją sam kupił, lub nawet otrzymał darmo—nie przeczytaną na bok odłoży, i jako sprzęt nieprzydatny nieposzanuje, gdy tymczasem jak to samo doświadczenie uczy, chętnie chwilami dłuższemi własnego dziecka płynniej już czytającego posłucha, jego pojaśnienia mile przyjmie, a książkę swojego dziecka choć już nie jako książkę, ale własność dziecka uszanuje i dobrze przechowa.

Wynalazłszy jeżeli nie drogę bitą, to przynajmniej ścieżeczkę, która nas na sam szczyt tak stromy, ale wzniosły prowadzi i doprowadzić do celu może, ośmielę się podać środki, a przynajmniej środek na doświadczeniu oparty i dotąd wcale odpowiadający, dosyć zdaje się korzystny i trafny — bo wszystkich nas zarówno do współudziału zmuszający, nieobciążający nikogo szczegółowo i ofiarności tylko jednej klasy ludzi niewymagający.

Otóż kształćmy młodzież ludu naszego w jak największych rozmiarach, kształćmy ją bez różnicy stanu, płci i religii, kształćmy ją ogólną ofiarnością w każdym zawodzie, a światełko rozleje się jakkolwiek powoli, ale szeroko, pomroka teraźniejsza ustępować będzie, zadnieje nareszcie, i słoneczko jaśniejszej oświaty wychyli się na naszą ogólną pociechę.

Życie autonomiczne przez zaprowadzenie Rad powiatowych podaje nam silną ku temu podstawę. Niech tylko każda Rada powiatowa nałoży u siebie 2 centy dodatku na cele zapomogi czyli stypendya, dla młodzieży swojego powiatu, dzieci ubogich rodziców, młodzieży wyżej kształcić się pragnącej, dobrze się uczącej i dobrze prowadzącej, niech wybierze komisye z pomiędzy siebie w tym celu, ażeby się rzetelnie kształceniem młodzieży zajęła, bezparcyalnie, dobrze się uczącym dzieciom ubogich rodziców dopomagała, a 74 Rad powiatowych, rozrządzając co najmniej na ten cel 80.000 złr., poprowadzą do 2.000 dzieci ubogich rodziców do szkół średnich, z których jakkolwiek część się jakaś nie uda, dużo jednakże z nich bardzo zdolnych, światłych i prawych, krajowi pożytecznych wytworzy obywateli. 2.000 dzieci ubogich rodziców pójdzie naraz z łaski i pomocą Rad powiatowych do szkół wyższych, a że po latach 4, gdy starszych własnym siłom i pracy pozostawić można, albo nabędą oni krajowe stypendya, a przez to zmienić się może cała warstwa powiatowych stypendystów, a corocznie w jakiejś części zmieniać się musi, bo źle uczących, lub prowadzących się źle, zastępują inni. Przeto przypuścić można śmiało, że w latach 10, Rady powiatowe bez najmniejszych przykrości i przy kosztach nic nie znaczących i nikogo osobiście niebolących, najmniej 5.000 dzieci wykształcą tylko 2 centami dodatku rocznie, ci zaś oddziaływując na swoich, tysiąckrotnie krajowi odpłacić się mogą.

Znaczniejszym dodatkiem większe liczebnie daływy się osiągnąć korzyści. Że zaś to nie jest myślą bez podstawy i doświadczenia — dowiodę przykład em

Rada powiatowa w Brzozowie, powiecie małym o 12 mil □ i 60.000 mieszkańcach, ofiarowała w 1872 r. na cele pomocy naukowej dla dzieci ubogich rodziców po 1 cencie dodatku, od 1 złr. bezpośrednich podatków, co uczyniło rocznego dochodu 500 złr. Przekonawszy się, jak błogo ta zapomoga na uczące się dzieci i biednych rodziców oddziaływa, dozwoliła Rada już w 1876 r. na drugi cent dodatku, tak że teraz komisya z łona Rady w celu zajęcia się rozdzielania tej zapomogi wybrana, już rocznie 1.000 złr. dysponuje. Komisya wyrobiła program, według którego dzieciom biednych rodziców powiatu, bez różnicy stanu, płci, religii, do wyższych szkół któregokolwiek zawodu naukowego uczęszczać pragnącym, byle lat 12 wieku nie wiele przekroczyły, a szkoły ludowe celująco ukończyły, daje każdemu po 40 złr. rocznie zapomogi jako stypendyum, i wypłaca takowe w 4 ratach co 10 tygodni na ręce dyrekcyi szkoły, gdzie uczęszczają, pod warunkiem jeżeli dzieci dobrze się uczą i sprawują, co zaświadczeniami szkolnemi co pół roku przedkładanemi, udowodnić muszą. W pierwszym roku wymaga się od stypendysty lokacyi w pierwszej trzeciej części uczniów swej klasy, od 2 klasy zacząwszy lokacyi w pierwszej czwartej części uczniów klasy, jako warunku koniecznego, do dalszego pobierania stypendyum. Tym sposobem gdy uwzględnień wyjątkowych uzyskać trudno, pobudza się dzieci do pilniejszej nauki, a odznaczającym się zaś w naukach stale, tym którzy lokacye 1, 2 lub 3 osiągnęli i mają, dodaje się do tego po 20 złr. rocznie dla zachęcenia i wytrwania w nauce. W ten sposób rozdał powiat brzozowski od 1872 r. już 39 dzieciom stypendya, a choć wprawdzie nie wszyscy z nich udali się, ma obecnie powiat 24 stypendystów od VII gimnazyalnej klasy do I, na kursie pedagogicznym tak męzkim jak i żeńskim, którzy może bezwiednie, ale bardzo widocznie i znacznie, przyczyniają się korzystnie do krzewienia oświaty, oświecając tak rodziców jak rodzinę i sąsiadów, bądź przez zajmowanie się w domu w czasie wakacyi książkami, bądź przez to, że czytając płynnie, otaczających do lepszego nauczenia się czytać pobudzają, bądź przez treść książek czytanych, z których czy to religijnej, przyrodniczej, czy historycznej treści, każde dziecko jakieś pojaśnienie otoczeniu dać jest w stanie, a które to pojaśnienie, jako nie od obcego „czarnego," chętnie bywa przyjęte i utkwi w pamięci.

Że dzieci te nawet swojem ułożeniem i prowadzeniem się, choć nieznacznie, a nawet bezwiednie, jednakże korzystnie i co do obyczajów i łagodzenia wstrętu od człowieka naukowego „czarnego" wpływają, przekonać się można po obchodzeniu się tych ludzi nietylko z dziećmi własnemi, do szkół chodzącemi, ale z wszystkiemi, co jakoś wiedzę reprezentują. Lud nasz bowiem co raz to jaśniej i wyraźniej pojmuje, i przychodzi do przekonania, że z rozdrobnionych kawałków ziemi wyżywić się trudno, a nabyta naukami wiedza niejednemu już chleb i godności przyniosła. Wiedzę więc on ceni, pouczenie od swoich chętnie przyjmuje, odrzuca jednakże wszelkie, gwałtem jeszcze drogą naznaczone sobie rozumy, nie ufając obcym z przekonania.

Za przykładem dobrym Rady powiatowej poszło miasteczko Brzozów, i jakkolwiek samo bez kapitałów, bardzo ubogie, gdy od dawien dawna młodzieży mieszczańskiej do szkół dużo się garnie, Rada gminna uznając szczupłość datku funduszu powiatowego, ofiarowała dla swej młodzieży uczącej się rocznie po 300 złr. dodatku do stypendyum, wskutek czego 12 dzieci miejskich, stypendystów powiatowych, do 40 złr. z funduszu powiatowego dostają dodatku po 20 złr. razem po 60 złr. rocznie.

Jakkolwiek pomoc 40 złr., względnie 60 złr. rocznie dla studenta, zdaje się mało znaczną, jednakże w samej istocie dla biednych musi być dobra i jest bardzo pożądaną, gdyż corocznie więcej kandydatów o nią się ubiega, niż funduszów starczy.

Patrząc już lat 7 na to, co napisałem, to jest na młodzież do nauki garnącą się, zmartwioną odmową stypendyum, rodziców pełnych wdzięczności za otrzymaną pomoc, studentów pilnujących się w uzyskaniu jak najlepszej lokacyi, na uznanie ze strony Rad powiatowych i miejskiej, za szczere zajęcie się dobrem młodzieży uczącej; sądzę, że nie napisałem mrzonki, i sądzę, że łatwo z niewielkim, nikogo nieobarczającym kosztem, a jednakże łącznemi siłami otworzyć szczelinę, i to dosyć szeroką, przez którą światło między lud wciskać się może i będzie, a gdy do tego w podobny sposób postaramy się, co się i tu praktykuje, z tych samych funduszów, o biblioteczki naukowe powiatowe, z której ciągle nauczyciele szkół ludowych, a w czasie wakacyi i studenci korzystać mogą, a w ogóle o tanie, odpowiednie dzieła ludowe, a premiowaniem takiemi dziełkami dzieci dobrze uczących się po szkołach ludowych, dziełka te bezpłatnie rozszerzać się postaramy, gdy oprócz tego wspierać istniejące, a tworzyć nowe będziem Bursy dla najbiedniejszych dzieci, mniemam, że oprócz innych dróg, do krzewienia i rozszerzenia oświaty pomiędzy ludem naszym będzie to jedna z najpraktyczniejszych, bo wspólną i najmniej kosztowną.

BIBLIOGRAFIA POLSKA.

— *Baber Ludovicus*. De arte hermeneceutica S. Isidori Pelusiotae. 8ka str. 132 Cracoviae 1878. 1·50.

— *Bujnicki Kazimierz*. Psałtterz Dawidowy, przełożony wierszem polskim. 8ka, str. 303. Toruń, 1878 r. 1.43.

— *Dobkiewicz ks. Julian*. Troistość w naturze czyli nowy systemat filozofii, oparty na dogmacie o Trójcy przynajświętszej. 8ka, str. 71. Warszawa, 1877. 1 złr.

— *Dzieduszycki Wojciech hr.* Studya estetyczne. 8ka, str. 272. Lwów, 1878. 1.40.

Dzędzielewicz Józef. Wycieczki po wschodnich Karpatach. 4° str. 40. Kraków, 1877. 66 ct.

— *Herski Fr.* Kazania rolnicze, opracował Fr. Gawroński. 8ka. str. 127. Warszawa 1877. 1 złr.

— *Horwath Jerzy*. Nataniela, powieść, trzy tomy w jednym. Warszawa, 1878. 1.50.

— *Hugo W.* Historya zbrodni. Powieść. Tom I. Zeznania świadka. Warszawa, 1878. 1 złr.

— *Jarochowski Karol*. Sprawa Kalksteina 1670 - 1670, 8ka, str. 132. Warszawa, 1878. 1.50.

— *Mestenhauser Karol*. 100 figur mazurowych oraz zasady ogólne i szczegółowe mazura. 8ka. str. 136. Warszawa, 1878. 1.25. Kartonowane 1.50.

— *Mrówka J.* Odpowiedź ciekawemu Kubie, czem dzisiejszy wieśniak być może i powinien. 8ka. str. 16. Warszawa, 1878. 10 ct.

Wiadomości z kraju i ze świata.

JUBILEUSZ J. I. KRASZEWSKIEGO.

Na *Złote myśli* przedpłacili:

23. Wny S. W. Wolkenstein ze Lwowa.
24. Wny Targowski ze Lwowa.
25. Wny Żytny ze Lwowa.
26. Wny Pamuła ze Lwowa.
27. Wna Izabella Marya Rosińska ze Lwowa.
28. Wny Henryk Karszniewicz z Czortkowa.
29. Wny M. Łucki z Czerniowiec.

Literatura, sztuka i nauka.

— *Pochodnie cara* — *Świeczniki słowiańszczyzny*. Taki nosi tytuł wyborna illustracya ostatniego numeru *Harapa*. Sama ta jedna rycina zjednać by powinna pismu kilkuset nowych czytelników. Ostatnie rozboje carskie na Polakach dokonane w Turcyi, nawet nas Polaków, co już tak na wylot znamy Moskali, wprawiły w zdumienie. A przecież wiedzieliśmy dobrze, że dosyć jest urodzić się w Polsce, aby przez całe życie, na którymkolwiek punkcie świata znajdując się, *nigdy* nie być pewnym swobody, mienia i życia, nigdzie nie mieć domu, spokoju. Wiedzieliśmy o tem, bo któż z nas sam tego nie doznał? a jednak nowe rzezie carskie, na lekarzach austryackich pochodzenia polskiego dokonane w Turcyi, były jeszcze i dla nas niespodzianką. Rycina *Harapa* jest trawestacyą obrazu Siemiradzkiego *Pochodnie Nerona*, tak w swej całości jak i we wszystkich szczegółach. Na prawo szubienice z nowymi męczennikami, Car w lektyce niesionej przez wassalów Karola rumuńskiego, Milana serbskiego i Mikitę czarnogórskiego w asystencyi lwa czeskiego i Gorczakowa. U dołu cała Europa: Mac Mahon z rzeczpospolitą francuską, Humbert, Andrassy, Germania, Bismark, Anglia. Nawet lutnistki nie brak, której miejsce zastępuje historya. (Numera pojedyńcze po 20 centów prenumerata kwartalna 1·15 ct.)

Dyabeł także przedstawia rycinę z tych wypadków.

Dyabeł i *Harap* tak wyborne zamieszczają obecnie ryciny, że mogą rywalizować z najlepszemi pismami humorystycznemi zagranicznemi i gdyby nie to, że my zawsze wolimy to co obce, pisma te powinnyby znaleść zasłużone uznanie.

— „Gazeta Narodowa" rozpoczęła w fejletonie druk powieści T. T. Jeża *Pod obuchem*.

— *Dziejów powszechnych Szlossera* opuściły prasę zeszyty 129 i 130, w nich został ukończony druk tomu 21 i rozpoczął się tom 22 czyli ostatni wydawnictwa.

— Wkrótce już wyjdzie z pod prasy 60 tomik Biblioteki Mrówki zawierający Juliusza Słowackiego *Maryę Stuart*.

— *Piosnek humorystycznych* M. Rodocia zeszyt VI wkrótce wyjdzie z druku ku wielkiemu zmartwieniu Stańczyków.

— Opuścił już prasę XIV tom dzieł Długosza. Do uzupełnienia wydawnictwa wyjdą jeszcze dwa tomy zawierające: Pomniejsze prace Długosza, jego żywot i indeks do tekstu łacińskiego Dziejów, opracowany przez T. Żebrawskiego.

— *Listy polskie* wydawać rozpoczęli w Paryżu pp. Józef Tokarzewicz, E. Siwiński i A. Cieszkiewicz. Podnosić potrzebę publikacyi emigracyjnych byłoby zbytecznem, gdy nawet narody, mające byt niepodległy, niejednokrotnie zmuszone są do publikacyi emigracyjnych. Tylko na emigracyi może być wolność słowa, tylko tam myśl narodowa otwarcie wypowiedzianą być może. To też z żywą radością witamy to nowe wydawnictwo emigracyjne, zwłaszcza że na czele redakcyi stanęli ludzie tak zdolni.

Czy jednak kraj podziela nasze zapatrywania, a raczej będzie skorym dać swoje poparcie wydawnictwu przez przystąpienie do prenumeraty lub zasilenie w inny sposób redakcyi funduszami, to przyszłość okaże. Ufając, że znajdą się ludzie pamiętni, że w Paryżu za papier i druk płacić potrzeba, podajemy adres administracyi *Listów polskich*: „Mr. A. Cieszkiewicz, 136 Boulevard du Montparnasse Paris".

Nr. 2. zawiera: Artykuł wstępny J. I. Kraszewskiego. Trzy polityki nasze z przed roku 1863 rozważył Edward Siwiński (b. profesor uniwersytetu warszawskiego). Do niezadowolonych przez Józefa Tokarzewicza. Z kraju i z wygnania, list po powrocie z Irkucka. Z paryskiego ustronia przez Jana Sceptyka. O społecznem znaczeniu odkryć i wynalazków tegoczesnych przez A. Cieszkiewicza. Notatki i sprawy emigracyjne. List z Bruxelli ks. Z. Sniežyńskiego. Drobne wiadomości.

— Podaną w jednym z ostatnich numerów wiadomość o nieprzyjęciu panny Tomaszewiczówny dra medycyny na członka towarzystwa lekarskiego warszawskiego uzupełniamy, iż za przyjęciem była większość głosów bo 19 na 30 głosujących, tylko niedostateczna do wymagań regulaminowych, które żądają $^{2}/_{3}$ głosów obecnych. Wobec tego faktu wynik głosowania nie przemawia tak bardzo na niekorzyść towarzystwa, którego tylko znaczna mniejszość członków była przeciwną przyjęciu.

— Jubileusz J. I. Kraszewskiego niesłychanie budzi zajęcie pod zaborem moskiewskim, projekta coraz to nowego uczczenia zasług czcigodnego jubilata wyrastają jak grzyby po deszczu i znajdują powodzenie, nie licząc pojedyńczych usiłowań przyczynienia się do uświetnienia jubileuszu. Wydawnictwa książek, wydawnictwo zbiorowe, kałamarze, puhary, pióra, wino, poduszki i różne pamiątki od Polek zasypią tak Kraszewskiego, że składy będzie musiał najmować dla pomieszczenia tych wszystkich rzeczy. Żałować wypada, że nie został z góry obmyślany jakiś projekt poważny, który powinienby był skupić wszystkie dobre chęci a z pewnością rezultat byłby imponujący. Jakże obok tego ogólnego zainteresowania się zaboru moskiewskiego, dziwnie odbija obojętność tutejszej publiczności. Podniesiona u nas myśl wybicia medalu pamiątkowego zaledwie dotąd znalazła stu subskrybentów i to przeważnie z grona literatów. Zapisy na wybór dzieł J. I. Kraszewskiego bardzo idą słabo. Piękna myśl Wielkopolan wydania *Złotych myśli* J. I. Kraszewskiego zaledwo nie licznych zwolenników u zas znajduje.

Mamy nadzieję, że po karnawale przy swobodniejszym umyśle i u nas przypomni sobie publiczność sympatyczne imię jubilata i zechce okazać mu w ca-

łej pełni wdzięczność za jego wytrwałą obywatelską pracę nad pielęgnowaniem cnót rodzinnych i budzeniem przywiązania do ziemi ojczystej

Młodzież uniwersytetu lwowskiego podjęła inicyatywę w wydaniu książki zbiorowej, złożonej z samych prac młodzieży polskiej, rozrzuconej po całej kuli ziemskiej. Projekt to bardzo sympatyczny i życzymy mu powodzenia

W Warszawie między innemi wydano odezwę następującą:

Od redakcyi książki jubileuszowej dla

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Dla uczczenia J. I. Kraszewskiego w pięćdziesiątą rocznicę pracy jego na polu piśmiennictwa powzięto myśl. żeby niezależnie od wyboru pism jubilata, wydać książkę zbiorową. którąby stanowiła, o ile to być może, najwierniejszy wizerunek tej pracy we wszystkich różnorodnych, tak licznych jej gałęziach, i razem z zasługami pisarza dała w nim poznać społeczeństwu człowieka w szczegółowych rysach jego żywota.

W skutek tego, główni przedstawiciele prasy i literaci, na zgromadzeniu dnia 3go stycznia zwołanem, wybrawszy z grona swego redakcyę, powierzyli jej wykonanie rzeczonej myśli. Redakcya ta, zająwszy się ułożeniem programatu książki jubileuszowej, postanowiła, że ma się ona składać: 1) ze studyów nad pojedyńczemi odnogami działalności publicznej Kraszewskiego: jako powieściopisarza, poety, dramaturga, historyka, archeologa, etnografa, filozofa, estetyka, krytyka, publicysty. redaktora, wydawcy i drukarza; 2) z bibliografii jak najdokładniejszej wszystkich pism jego; 3) z życiorysu obrazowanego na szerszą skalę, i 4) z artykułów epizodycznych, odnoszących się do rozmaitych epok jego żywota.

Niektóre z wymienionych powyżej działów, wzięli już do opracowania sami redaktorowie. resztę zaś powierzyli odpowiednim pisarzom, odznaczającym się we właściwych przedmiotach znawstwem i powagą zdania uznaną. Dla chcących wszakże uczestniczyć w tej pracy, pozostaje dość jeszcze pola, pożądane bowiem są oprócz tego wszelkie materyały biograficzne, czy to w kształcie wspomnień, pamiętników, albo anegdot z życia jubilata, czy to w listach jego prywatnych, niemniej jak i rozbiory szczegółowych czynników, wchodzących w skład utworów powieściowych tego pisarza, wyjaśnienia pewnych tendencyj, typów zbiorowych, postaci wybitniejszych itp.

Redakcya takie materyały i prace, o ile odpowiadać będą celowi, przyjmie z wdzięcznością i prosi o uprzejme ich nadsyłanie pod adresem Antoniego Pietkiewicza, Nowy-Świat nr. 39, naznaczając termin ostatni na dzień 1go grudnia roku bieżącego; ktoby zaś pragnął poznać bliżej program książki, na żądanie będzie go miał udzielonym sobie od redakcyi.

WARYAT.

CZARNA POWIASTKA.

(Z francuskiego).

(*Dokończenie*).

Févre odsunął łagodnie matkę dziewczynki i nie długo również załatwił się ze mną, pomimo, że dobywałem całych sił, ażeby go zatrzymać. Potem uchwycił za ręce przerażoną dziewczynkę i przyglądał jej się chwil parę w milczeniu. Dziki okrzyk niewypowiedzianej radości, podobny do ryku zwierzęcia, wyrwał się z jego piersi.

— Marto! — zawołał strasznym głosem — to ty, to ty, moje dziecię!

Okrywał ją pocałunkami i kołysał jak małe dziecię, śmiejąc się radośnie. Ten śmiech rozdzierał nam serce.

Jancia krzyczała, ile sił starczyło, matka rzuciła się ku niej, a ja będąc przekonanym aż nadto dobrze, że i moje usiłowania na nic się nie zdadzą, próbowałem odebrać mu przerażoną dziewczynkę. Szczęściem jednak mój przyjaciel pobiegł do zakładu wezwać pomocy, i w kilka chwil potem wrócił w towarzystwie potworów, na rachunek których dziecinna nasza imaginacya snuła niegdyś różne przerażające opowieści.

Févre spostrzegł dozorców, a twarz jego nabrała dziwnego wyrazu. Wzrokiem pełnym niedowierzania zmierzył ich od stóp do głowy

Było ich pięciu, lecz Févre czuł aż nadto dobrze, że może w razie oporu zmusić ich do ucieczki. Lecz nie opierał się wcale. Może obawiał się skaleczyć dziecko, lub też może nadzwyczajna radość odebrała mu siłę. Nie wiem, trudno na to odpowiedzieć.

Jednym silnym rzutem uwolnił się z moich rąk, odepchnął kuzynkę, aż padła na ziemię zemdlona, i z szybkością dzikiego zwierza rzucił się ku bramie a potem na schody.

Pobiegliśmy za nim, Jancia krzyczała ze strachu, a Févre unosząc ją, okrywał jej twarz i ręce serdecznemi pocałunkami.

Dwoma skokami przebiegł schody i zniknął w korytarzu.

Zaledwie zdążyliśmy dostać się na korytarz, Févre zatrzasnął drzwi za sobą. Był w swoim pokoju i zamknął się tam wraz z dziecięciem. Potem nastąpiły dziwne jakieś łkania, tłumione krzykiem Janci, i słyszeliśmy łoskot ciała upadającego na podłogę.

Szczęściem pokoiki obłąkanych nie zamykają się ze środka. Obawialiśmy się czy Févre nie chce zatarasować drzwi własnem ciałem. Lecz to nie nastąpiło.

Pchnęliśmy drzwi i w pierwszej chwili obłąkany zniknął nam z oczów, gdyż szukaliśmy go przed sobą, a on leżał na ziemi...

Był martwy, nie dawał znaku życia, lecz trzymał jeszcze w uścisku dziecię, nie mogące już krzyczeć ze strachu, czy z osłabienia. Usta jego poruszały się lekkiem drżeniem, a łagodny uśmiech osiadł na nich. Sprowadzono doktora i uwolniono Janinkę z objąć obłąkanego Févre'a. Z początku wydawało się to niepodobieństwem, lecz po niejakim czasie muskuły utraciły swą sprężystość i ręce nieszczęśliwego opadły bezwładnie na ziemię.

Doktór obejrzawszy go dokładnie rzekł:

— Źle się stało, żeście państwo sprowadzili z sobą to dziecię. Ten biedak sądził, że utracona i opłakana córka wraca do niego. Wątpię, czy nie przypłaci tego życiem...

Cała ta scena trwała zaledwie kilka minut. Wziąłem na ręce dziewczynkę prawie martwą ze strachu i zaniosłem do matki, której starania i śpieszna pomoc zdołały wrócić straconą chwilowo przytomność.

Widok dziecięcia, wracającego do niej zdrowo i cało, ożywił i uspokoił ją zupełnie.

Potem zawstydzona, że swą zbytnią uległością woli rozgrymaszonej dziewczynki, stała się mimowolną przyczyną tak strasznego zdarzenia, prosiła, żebym ją odprowadził do domu.

W kilka dni potem, spotkałem mego przyjaciela na ulicy i po zapewnieniu go o żalu, że mimowolnie staliśmy się powodem tej katastrofy, spytałem:

— Cóż to za straszny wypadek pomięszał zmysły tego człowieka i odebrał mu rozum?

— Okropne, straszne zdarzenie — rzekł. — Nie chciałbym go powtarzać ludziom, mającym słabe nerwy, gdyż wątpię czy mogliby wysłuchać mego opowiadania.

Zaciekawiony, nalegałem żeby mi opowiedział szczegóły tego dramatu; uczynił to nie bez wahania.

Févre był właścicielem niewielkiej fermy. Ożenił się w dwudziestym piątym roku życia z prześliczną blondynką, kwitnącą jak róża.

Gorące serce biło w tem olbrzymiem ciele, umiało ono kochać bez granic, o czem zaświadczyć mogą najlepiej sąsiedzi i znajomi Févre'a, którym z żelazem w ręku bronił przystępu do żony, gdy ją chcieli przenieść na miejsce wiecznego spoczynku. Był to pierwszy napad szaleństwa, które uspokoiło się dopiero wtedy, gdy mu podano maleńką Martę.

Dziecię miało wówczas dwa lata i było dumą i radością ojca, który poddając się chętnie kaprysom jedynaczki, nie umiał jej niczego odmówić.

Nauczono maleńką Martę jak ma przemawiać do ojca, dziecię pieściło go drobnemi rączkami i przemawiało słodkim głosem, a tymczasem wyniesiono trupa na cmentarz.

Od tej pory z chaty Févre'a uciekło szczęście bezpowrotnie, lecz nadzieja, jak gwiazda przewodnia świeciła nad jego głową.

Pocieszył się, uspokoił, gdyż miał żyć dla kogo — miał córkę.

Czas, który goi wszelkie rany, wpłynął także na zmianę jego usposobienia, a mała sierotka, rozkoszniejsza z dniem każdym, zapełniała tę otchłań ciemną, którą grób przed nim odsłonił. Córka była dla niego całym światem, wszystkie skarby miłości, którą w swem sercu nosił, zlał na nią jedynie.

Towarzyszyła mu wszędzie, gdzie się obrócił, chodziła z nim w pole, do lasu, i nie opuszczała go ani na chwilę.

Gdy nie mógł zabrać jej z sobą, zostawał w domu, drżał o swój skarb jedyny, i zdawało mu się, że gdyby na chwilę stracił ją z oczu, spotkałoby ją niebezpieczeństwo, przeciw któremu niktby jej nie mógł obronić.

Czasami gdy mu wracała dawna melancholia, rozmyślał całemi dniami o zmarłej żonie, a na myśl, że Marta mogłaby go również opuścić na wieki, włosy stawały mu do góry, oczy nabierały błędnego wyrazu i drżał jak w febrze

Było to w jesieni, zaczynało się już ściemniać, gdy Févre powrócił z lasu z zapasem drzewa na zimę. Ponieważ nie było jeszcze zupełnie ciemno, zabrał się do rąbania drzewa.

Zatrzymał się chwil parę zapatrzony w jedynaczkę bawiącą się wesoło i wziął się z energią do pracy. Silny jak lew i niestrudzony, wznosił do góry olbrzymią siekierę i opuszczał ją na grube pniaki, rozpadające się na części pod jej ciosami. Pracował za trzech, w chwilach odpoczynku wspierał dłoń na siekierze i spoglądał z rozkoszą na figlarną dzieweczkę.

Był to prawdziwie oryginalny i straszny zarazem widok, gdy olbrzymia siekiera, kołując się w powietrzu ponad głową pracującego, spadała na ziemię u jego stóp z przerażającą siłą.

— Poczekaj Marto — rzekł — jeszcze jeden pniaczek, a potem pójdziemy na kolacyę.

To mówiąc wzniósł siekierę do góry i z ogromnym rozpędem opuścił ją ku ziemi.

Wówczas stało się coś tak przerażającego, że na samą myśl można dostać pomięszania zmysłów, fakt tak okropny, że słuchając go, serce się ściska, oddech zamiera w piersiach...

Dziewczynka sądząc, że ojciec ją woła, przybiegła w żywych podskokach, i zatrzymała się właśnie w tem miejscu, na które miała spaść siekiera. Févre spostrzegł obok siebie jej jasnowłosą główkę. Czuł, że nie wstrzyma siekiery. Pojął od razu, że gdy ją opuści, głowa ukochanego dziecka padnie odłączona od reszty ciała.

Co się działo podczas owej sekundy w głowie i sercu tego człowieka?

Siekiera zakreśliła łuk w powietrzu. Dziecko nie miało przytomności, by pochylić się na lewo lub na prawo.

Févre jęknął głucho, a zachodzące słońce rzuciło ostatni krwawy promień ku wyostrzonej siekierze, spadającej na głowę dziecka.

Nieszczęśliwy ojciec nie miał nawet tej pociechy, by mógł umrzeć w tej chwili fatalnej.

. . . .

Treść Nr. 28.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.)   Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.